

Żłomika

D W U T Y G O D N I K S P O Ł E C Z N O - K U L T U R A L N Y

Nr 11 Rok I

ŁÓDŹ, 1—15 PAŹDZIERNIKA 1955

Cena zł 1.20

JAN KOPROWSKI

Spór o reportaż

Prawda jest najsłabszym surowcem sztuki, precyzja — jej najlepszym ujęciem.

E. E. Kisch.

Trochę teorii

Wiosną bieżącego roku wiele pisało się o reportażu w Niemczech, Austrii i Francji, z racji rocznicy urodzin i śmierci znakomitego pisarza, „króla reporterów” — Egonu Erwina Kisch. Wypowiadali się literaci i dziennikarze, tacy, którzy uprawiają reportaż i tacy, którzy zajmują się nim, powiedzmy, naukowo tzn. chcą określić jego poetykę. Lektura tych wypowiedzi była bardzo pouczająca i może się okazać w naszych rozważaniach wielce pomocna. Ludzie ci (m. in. Niemiec Carl Andriessen, Austriak Bruno Frei i Francuz Jean Villain) przypomnieli lub rozwinięli problemy reportażu, znakomicie przyczyniając się do wyjaśnienia wielu zagmatwanych pojęć.

A więc stwierdzili oni, po pierwsze, że reportaż opiera się na fakcie, wychodzi z faktu, ale na nim nie poprzestaje, po drugie, że nie można wyobrazić sobie reportażu bez fikcji (prawdy uogólnionej) i po trzecie: reportaż jest gatunkiem literackim i jako taki ma swoje określone prawa.

Co to znaczy „wychodzić z faktu, ale na nim nie poprzestawać”? To znaczy umieć odtworzyć na podstawie dostępnych faktów ich „prehistorię”, to, co było przedtem, dawniej oraz dać obraz tego, co będzie. W tym wypadku fakty nie stają się celem samym w sobie, lecz środkiem do celu, a celem tym jest — dotrzeć do rzeczy dalszych, ważniejszych, ogólniejszych.

Fakt czy tzw. naga prawda, choćby nie wiem jak wiernie i niebiańsko przedstawiona — pisze Jean Villain — staje się nudna, nie interesująca, a nawet odrażająca przykra. Prawda musi być osobiście przeżyta. I tu dochodzimy do zagadnienia postawy reportera. Prawda będzie przeżyta jedynie wówczas, kiedy pisarz przystąpi do jej badania z pozycji człowieka zaangażowanego w życie swojego kraju, któremu obserwowane i opisywane fakty nie będą obojętne. Żeby sprostać temu zadaniu, literat czy dziennikarz, pisujący reportaż, musi rozporządzać pokaźną wiedzą z różnych dziedzin, pokaźnym doświadczeniem społecznym czyli znajomością życia i umieć te dwie umiejętności (nie mówimy tu o talencie, który jest minimalnym założeniem każdego zawodu) zestroić w jedno operatywne narzędzie pisarskie i przeopić je gorącą pasją.

Jeden z moich kolegów, użył kiedyś trafnego porównania. Powiedział on mianowicie: połóżcie obok siebie kilka płócien różnego koloru, zobaczycie, że to wcale nie będzie ani piękne, ani ciekawe. Ale kiedy na te kolory padnie promień słoneczny, zobaczycie jak one wówczas „zagrają”. Tak samo jest z faktami. Poustawiając je obok siebie jak najlepiej, jeśli ich nie prześwietlicie — nie „zagrają” one jak należy, nie dadzą prawdziwego, pełnego obrazu rzeczywistości. Tym promieniem prześwietlającym jest nasz światopogląd, nasza filozofia marksistowska, nasza wiedza, pozwalająca widzieć zdarzenie w jego tzw. kontekście. Dlatego właśnie prawdę nazywał Kisch jedynie „najsłabszym surowcem sztuki”. I dzięki temu mógł zasłużyć sobie na opinię, którą wydał o nim inny znakomity twórca Lion Feuchtwanger, „Te na pozór tak lekko i zabawnie opowiedziane historie — pisał Feuchtwanger — porządkuje i łączy jednolity pogląd na świat. Za fasadą tych gorzko-wesołych, groteskowych wydarzeń, opowiadanych tak barwnie i dowcipnie, stoi ogromna wiedza, zebrana z niezliczonych dyscyplin, i człowiek, który umiał tę wiedzę wtopić organicznie w wielki światopogląd”. A więc reporter to nie sprawozdawca, nie rejestrator, nie przyczynkarz, nie urzędnik doraźnych interwencji. Reporter to człowiek, który pogłębia rzeczywistość, a reportaż to taki utwór, który posuwa naszą wiedzę o życiu naprzód. Reportażysty muszą być ludźmi wykształconymi, muszą umieć doskonale pisać, nie mogą to być pół-inteligenci i półalfabeci. Tajemnica powodzenia reportażu Kischasza zasadzała się na dwu odkryciach, przez niego dokonanych. Odkrył on mianowicie

ogólne w szczegółowym, wielki świat w małym, i w okresie, w którym pisał, tj. kiedy burżuazja dokonywała swego rodzaju odczłowieczania człowieka, on uczyło-wieć świat, humanizował go, czynił bliskie i zrozumiałe ludzką pracę i ludzkie działanie.

Jasne, że w świetle tak postawionego zagadnienia, potrzeba fikcji w reportażu staje się zrozumiała. Ale pytamy: o jaką fikcję chodzi? Czy o taką, która polega na pogłębianiu przepaści między rzeczywistością życia a rzeczywistością sztuki? Nie, takiej fikcji nam nie potrzeba. Zbyt często odchodzi nasza literatura od życia, na zbyt się z nim rozmyja, byśmy mieli tutaj wskazywać potrzebę takiej fikcji. Fikcja, jak my ją rozumiemy, winna stanowić w reportażu naturalne jego dopełnienie, ale z faktów wysnute, z prawdy wyprowadzone. Był ktoś, kto porównał rzeczywistość do skóry, sztukę — do buta. Sztuka to inny porządek

(Dokończenie na str. 7)

LECH BUDRECKI

ŁUDZIE DNIA WCZORAJSZEGO



ZANIM wyjechałem do Kielc, moi przyjaciele radzili: — Chwyć tylko konwencję. Reszta napisze się sama. Zeromski! Był w Kielcach. Pisał o Kielcach. Poczytaj sobie Żeromskiego — Wiedziałem już czego chcą — cytuję, rzewnych wspominków, żalostnego rozczulenia. Widzieli już tytuł „Na tropach”, albo „Na szlaku”, albo „Śladami”. — Chwyć tylko konwencję. Reszta napisze się sama — mówili moi przyjaciele. — Teraz jest tam inaczej, zupełnie inaczej. Ale pamiętaj! Obrzydłówek, pamiętaj! — szklane domy: Rozumiałem ich dobrze.

Musi być jednak „Obrzydłówek” i muszą być „szklane domy”. Bez tego ani rusz! To się dopiero nazywa uca-pięć konwencję!

Zdjęła mnie wściekłość i dlatego nie wiem, gdzie uczył się Żeromski, do której szkoły chodził Dygasiński. Naprawdę nie wiem, choć byłem w Kielcach.

Zatykałem palcami uszy, gdy wspominał mi ktoś o tym. Wystarczyło bym z daleka dostrzegł tablicę pamiątkową, a już przymykałem powieki. Bałem się, że jeśli ją zobaczę, nie obroni mnie już nic. Przebiorę się w szkolny mundurek. Będę posłusznym prymusem. Sko-pięję cudze słowa.

Jeśli kiedy znajdziecie się w Kielcach — mówię to do was, którzyście nigdy tam nie byli — wychodząc z dworca, idźcie wprost przed siebie najpierw przez mały placik, a potem ulicą w dół. Szybko poaciecie się wtedy, że coś tu nie w porządku. Niby wszystko wygląda pocziwie, tak jak należy, a jednak... I to jest najgorsze. Czujecie się głupio, jak staruszek przylapany na podglądaniu przez dziurkę od klucza. Winna jest ulica. Wąska, ciasna, pokraczna — domy wypłowiałe, to trzy — to jednopiętrowe, okna niewielkie, odrapane mury. Wszędzie bramy. Drewniane, ongiś pomalowane na brązowo, z których ciągnie wilgotny chłód z nad jakichś drzwi wystaje blaszany szylid. Wypisano na nim koślawo „Fryzjer”. Zrudział już i szerniał. Nawet litery stały się zamazane. Mają barwę miedzanego drutu, który przez wiele lat przechowywano w ziemi. Przechodnie mijając szylid, pochylają odruchowo głowy. Może w ten sposób okazują szacunek długowieczności. A może po prostu boją się zawadzić o szylid kape-luszem. (Nie grozi im to. Musieliby wpięć się na palce.

Mieszkaliśmy kiedyś przy takiej ulicy. Dlatego natychmiast chwyciłem mnie żalostna rzewność. Stary mężczyzna mający około siedemdziesiątki, z którym poznałem się w pociągu i który siedział obok mnie, zaczął coś mruzczać pod nosem. Nucił. Poznałem melodię, choć była tego zniekształcona. Nucił „Wołga, Wołga, mat’ radnaja”.

Wolałem do siebie po cichu: — Głupcze, zapomnij takśwółki które widziałeś przed dworcem. Dopowiedz sobie — wolant i stangret i dorożka. Głupcze pomyśl... Wyjechałeś wczoraj, a trafiłeś w czas zaprzęzły. Po co próbujesz siebie oszukać? I tak i tak odczytujesz po kryjomu szylid w dwu językach — fryzjer i parikmacher.

Byłem tym jeszcze podniecony, a już podniecenie straciło swój sens. Niedorzeczne kamieniczki, wyłowione chyba z koszmarnego snu, jakby zapadły się pod ziemię. Dokoła długie, kilkupiętrowe bloki, niekiedy ujęte jeszcze w rusztowania, niekiedy różowe, gdyż nie otynkowane. Na ścianach ornamenty — geometryczne figury, podobizny.

Kielecki Muranów a może raczej

MDM. Rozglądam się. Ale daremnie. Nie ma gubernialnego miasta. Zapodziało się gdzieś. A może było tylko przywidzenie? Nie, nie... Już wiem — za rogiem czeka jego dalszy ciąg. Skrzywione okiennice, powyginany płot, nadgniłe schodki przed sienią.

I tak powtarza się raz po raz — gubernialne miasto, MDM. Niepodobna przewidzieć, co kryje w sobie najbliższa boczna. Kielce bawią się z przy-byszem w ciuci-babkę!

Gdy przyjechałem do Kielc, trafiłem na pogrzeb. O, nie był to zwyczajny pogrzeb! Pomyślałem więc, że zmarły miał bardzo liczną rodzinę a ta z kolei olbrzymie konsekwencje towarzyskie.

Za trumną siedzi tłum. Rozpoznałem kilku adwokatów, kilku lekarzy, a w otyłej kobiecie ze srebrnym lusem na szyi domyśliłem się żony pana N., który z małego sklepikarza wyrósł, na drobny, co prawda, przemysłowca — miał gdzieś pod ręką fabryczkę szczer-tak, zatrudniał 49 robotników. Zda-żył w porę zlikwidować interesy tak, że ustrzegł się przed domiarami, co budziło zawistny podziw u innych mniej w tym względzie szczęśliwych. Wszyscy szepotali i co chwila wyciągali szyję, jakby chcieli koniecznie kogoś zobaczyć, ale czynili to bardzo ostrożnie, by w niczym nie skazić pogrzebo-wego rytuału. Myślałem: — jak tu za-pytać, kogo chowają. Zapytać po prostu? Nie uchodzi. Dowiedzieć się o-kreślną drogą? Ale jeśli palnę głup-stwo — o dziecinki zapytam, a tu nie-boszczyk dzieci nie miał. Co wtedy? Przepędzą, przegonią!

Zaczepiłem siwego pana. — Biedny człowiek — mówię wdychając. — Biedny — odpowiada. Zmarło mu się — mówię. Spojrzył na mnie podejrzli-wie. — Zabili go — poprawiam się na-tychmiast. Siwy pan mruknął do mnie porozumiewawczo. — Jak człowiek ro-zumu nie ma — powiedział. I zaczyna się opowieść.

Zmarły był buchalterem. Miał żonę, znalazł sobie kochankę. Pokłócił się z nią, otrulią go. — A żona, widzi pan, płacze — wspiął się na palce, próbował coś wypatrywać. Potem — markotny — powiedział: Nic nie widać — ale zaraz wpadł w dobry humor. — Na cmen-tarzu zobaczmy — i zaczął się niecier-pliwić. — Wleczmy się i wleczmy.

Siwy pan jest notariuszem. Urodził się w Kielcach. Mieszka tu prawie całe życie. Siwy pan nie znał zmarłego. Nie widział go na oczy. Dziś nie był nawet na obiedzie. Pobiegł od razu na pogrzeb.

(Dokończenie na str. 4)

JANKA KUPAŁA
(1882 — 1942)

A kto to nadchodził!...

A kto to tak śpieszy przez błota i knieje?
A co to za tłum tam czernieje?
— Lud białoruski.
A cóż to za ciężar ramiona mu gniedzie?
A co on tak dźwiga na wychudłym grzbiecie?
— Swoją krzywdę.
A dokąd on niesie swą krzywdę tak ciężką?
I komu ukazać chce swoje ciemństwo?
— Całemu światu.
A któż to nauczył miliony tych ludzi
Przed świat poniesie krzywdę? Z drzemoty ich budzi?
— Głód, dola.
A czegoż chcą dzisiaj swej doli na przekór —
Wpierw ślepi i głusi, gnębieni wiek wieków?
— Stać się ludźmi.

MAKSYM TANK
(1912)

Na kurhanie wysokim

Na kurhanie wysokim rośnie jodla,
By wiedziały,
Korzeniami wrosła weń aż do dna,
By wiedziały,
Czubem gwiazdy dalekie potraça,
By wiedziały,
Gra na wierzchu jak struna jęcząca,
By wiedziały:
Matki —
Gdzie leżą synkowie pod wzgórzem,
Wichry —
Gdzie smykkiem przeciągnąć po chmurze,
Gwiazdy —
Gdzie niebo najsilniej roziskrzyć,
Ptaki —
Gdzie szukać wiosną gniazd ojczystych.

Przełożył TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI

Niefortunny projekt

LÓDŹ jest dzisiaj ośrodkiem akademickim rzędu Krakowa, Poznania czy Wrocławia. Jednak, jeżeli we Wrocławiu, czy Poznaniu — nie mówiąc już o Krakowie — w codziennym życiu miasta odczuwa się jego akademicki charakter — to w Łodzi jest przeciwnie: zaledwie w znikomym stopniu daje się zauważyć istnienie miejscowych szkół wyższych.

Łódź, która do ostatniej wojny pozbawiona była wyższej uczelni (poza filię Wolnej Wszechnicy Polskiej), nie miała też żadnych tradycji akademickich. To też dzisiaj uczelnie łódzkie z trudem utrwalają swoją pozycję w życiu miasta. Wielu łódzian nie odczuwa jeszcze znaczenia Uniwersytetu, Akademii Medycznej lub Politechniki w życiu społecznym kraju i miasta. Jeszcze ciągle dla wielu mieszkańców Łodzi Uniwersytet jest tylko jedną z wielu instytucji działających w mieście, takich jak zarządy przemysłowe, centra handlowe, wydziały resortowe Prezydium Rady Narodowej itp. Jeszcze ciągle społeczeństwa łódzkiego nie łączy silniejsza więź uczuciowa z „własnymi” wyższymi uczelniami. Nad zmianą tego stanu rzeczy pracują wytrwale łódzkie uczelnie wyższe. Kształcą one córki i synów łódzkich włóknarzy i corocznie zasilają kadry miejscowej inteligencji pracującej setkami wartościowych magistrów, lekarzy, inżynierów i wszelkiego rodzaju dyplomantów. Pracownicy naukowci biorą czynny udział w pracach Rad Narodowych i komitetów Frontu Narodowego, działają w instytucjach popularyzujących wiedzę naukową czy klubach racjonalizatorskich. Pracują też czynnie w życiu gospodarczym jako konsultanci zakładów przemysłowych, instytutów badawczych i biur projektowych. Te właśnie wysiłki pracowników wyższych uczelni i łódzkiej kadry naukowej wiążą ich coraz mocniej z życiem miasta, ale to nie wystarcza.

I tu przechodzę do zasadniczego tematu mojego artykułu. Dotychczasowy wygląd miasta, jego układ przestrzenny, jego architektura, słowem cały wyraz urbanistyczny jest wynikiem spełnianych funkcji gospodarczych. Łódź była miastem przemysłowym nie tylko ze względu na wielką ilość fabryk w mieście, wysoką wartość produkcji i duży odsetek ludności zatrudnionej w przemyśle, ale także i ze względu na swoją urbanistykę. Łódź z lat międzywojennych, miasto wojewódzkie i miasto rodzące się życia umysłowego, pozostała urbanistycznie nadal miastem przemysłowym.

Jaki wpływ mają istniejące obecnie uczelnie na wyraz urbanistyczny Łodzi? W jaki sposób zaznacza się i powinien zaznaczyć urbanistyczny wyraz, który posiada tak poważny ośrodek akademicki? W jaki wreszcie sposób układ urbanistyczny będzie mógł przyczynić się do wzmocnienia więzi między społeczeństwem łódzkim a jego uczelniami?

Ażeby odpowiedzieć na te pytania, trzeba wyjaśnić kilka zasadniczych faktów. Wiadomo powszechnie, że największą trudnością, z którą walczą

łódzkie wyższe uczelnie jest brak odpowiednich pomieszczeń. Nie ma ciągle jeszcze własnego lokalu biblioteka uniwersytecka, nie mają odpowiednich lokali katedry i zakłady prawie wszystkich dyscyplin, poza Politechniką i WSE. W dodatku obecnie zajmowane lokale są rozrzucone chaotycznie po całym mieście, co bardzo utrudnia współpracę pokrewnych zakładów tak niezbędą dla działalności naukowej i dydaktycznej.

Cóż jednak robić? Łódź przedwojenna, Łódź przemysłowa nie tylko nie miała wyższych uczelni ale nie miała prawie zupełnie jakichkolwiek budynków publicznych. Miasto nie mogło więc ofiarować swoim uczelniom takich budynków, które można by dostosować do potrzeb akademickich, tak jak to zrobił, na przykład, Toruń, który ulokował uniwersytet w kilku dużych gmachach zajmowanych przed wojną przez różne instytucje działające na terenie miasta.

Ta trudna sytuacja Łodzi ma jednak i pozytywne strony; pozwala na racjonalne rozplanowanie projektowanych

budynków akademickich, nie tylko ze względu na ich wzajemne powiązania i uzupełniające się funkcje, ale także ze względu na urbanistyczny wyraz całego miasta. Nowowznoszone budynki wyższych uczelni nie są sprawą jedynie tych uczelni. Winny one być widomym znakiem istnienia ośrodków akademickich w mieście, a także, ze względu na swoją formę architektoniczną, ozdobą miasta, która by cieszyła kochających swoje miasto łódzian. Budynki uczelnie powinny być dla mieszkańców miasta widoczne tak, aby czuli oni istnienie i życie tych uczelni, aby na nie patrzyli codziennie, stale, aby życie akademickie krążyło pośród nich, wciągając ich w swoje najważniejsze sprawy.

Trzeba otwarcie powiedzieć, że dotychczasowa praktyka urbanistyczna w Łodzi nie przyczyniła się ani do wzmocnienia więzi uczelni z miastem, ani też do podkreślenia pożądanego efektu plastycznego w mieście. Było wręcz przeciwnie: mało możliwości, ale i te, które były, zostały zmarnowane. Mam na myśli domy akademickie przy ulicy Bystrzyckiej. Same budynki, z zewnątrz ładne, są podobno bardzo wygodne i spełniają jak najlepiej swoją rolę, ale ich forma urbanistyczna, ich usytuowanie jest niewłaściwe. Łódź, która ma tak mało ładnych, okazałych budynków, otrzymała domy akademickie, których nikt nie widzi, które nie organizują jakiegokolwiek miasta itd.

Wydaje mi się, że dla miasta jest to wielka strata. Przypominam sobie wybudowany w latach dwudziestych dom akademicki w Warszawie na placu Narutowicza. Miał on wiele braków, był w najrozmaitszy sposób krytykowany, ale przyczynił się do zorganizowania całej dzielnicy i pokazał mieszkańcom ówczesnej Warszawy, co to jest dom akademicki.

Niewiele jest przykładów do krytyki, bo też i niewiele dotąd wybudowano. Stoimy jednak przed planem pięcioletnim, w którym ma być zrealizowana poważna kubatura budownictwa szkół wyższych. Sprawa zasadniczą jest nie tylko: czy i jakie gmachy zostaną wybudowane, ale również gdzie zostaną wybudowane.

Specjalnie poważnym problemem jest dostarczenie odpowiednich budynków dla Uniwersytetu i Akademii Medycznej. Obydwa te uczelnie wymagają bardzo dużych pomieszczeń; poza salami seminarijnymi i czytelniami konieczne są laboratoria, sale do ćwiczeń, prosektoria, kliniki itp. Specjalnych pomieszczeń wymaga także biblioteka uniwersytecka, mająca ogromne znaczenie dla życia kulturalnego całego miasta. Trzeba podkreślić, że jest rzeczą konieczną, aby większa część tych budynków była umieszczona w jednym kompleksie.

Wobec tego, że w śródmieściu Łodzi nie ma większych terenów budowa-

nych, wysunięto parę lat temu koncepcję ulokowania Uniwersytetu i Akademii Medycznej poza śródmieściem, a nawet poza miastem, projektując specjalną dzielnicę uniwersytecką. Dzielnicę tę znajdować się ma we wschodniej części miasta w rejonie ulicy Narutowicza i ma rozciągać się daleko poza teren radiostacji. Projekty przewidują, że obok domów uczelniowych powstaną tam domy dla studentów, obiekty sportowe, kulturalne itp., słowem, że będzie to samodzielny, pełny organizm, określany przez niektórych projektantów jako „miasteczko uniwersyteckie”. Projekty tej dzielnicy uniwersyteckiej istnieją już od kilku lat.

Koncepcja „miasteczka uniwersyteckiego”, oddzielnej dzielnicy miasta grupującej blisko siebie wszystkie, lub znaczną część zakładów naukowych Łodzi, uwzględniająca zasady nowoczesnej urbanistyki: odpowiednie duże tereny, zieleni, kompozycję estetyczną — ma cały szereg cech dodatnich; nie wymaga wyburzeń istniejącej zabudowy, jest łatwiejsza technicznie do realizacji itp. Ma ona natomiast jedną wielką wadę: odsuwa wyższe uczelnie od miasta. Usuwa z ulic łódzkich tłumy studentów, odsuwa z gwaru Piotrkowskiej, Zielonej, Gdańskiej, Struga i tylnych ulic, profesorów i asystentów izo-

(Dokończenie na str. 5)

JAN SZCZEPAŃSKI

A jednak...

Narutowicza, Nowotki, Widzewem i Stokami.

Spróbujmy uzasadnić te zarzuty. Autor pisze: „Jeżeli w pierwszej części niniejszego artykułu stwierdziłbym, że jeszcze ciągle w społeczeństwie łódzkim nie istnieje żadna silniejsza więź z „własnymi” uczelniami — to koncepcja „miasteczka uniwersyteckiego” przekreśla możliwości powstania i zacieśnienia tej więzi”, a dalej stwierdza, że „Łódź, która jeszcze w pełni nie żyje sprawami swoich wyższych uczelni, powinna być związana z nimi formą urbanistyczną”. Takie powiązanie urbanistyczne polega na wkomponowaniu wyższych uczelni przestrzennie w takie punkty miasta, by wybudowane gmachy organizowały zabudowę swego rejonu, a zarazem stawały się studentów i pracowników w miejscu stycznym z wieloma sprawami życia mieszkańców.

Sądzę, że ten rodzaj więzi można by nazwać raczej więzią formalną czy też przestrzenną, i sądzę, że nie jest ona najważniejsza dla procesu wstępnego szkół wyższych w życie społeczne, kulturalne i gospodarcze miasta. Najważniejsze jest chyba to, aby wyższe uczelnie przyczyniły się do „wykształcenia silnej warstwy inteligencji łódzkiej, rozumiejącej doniosłość ich pracy, aby ukształtowały środowisko intelektualne miasta, wpłynęły na ogólny poziom życia kulturalnego, aby swoimi usługami w zakresie służby zdrowia, techniki, nauczania itp. podniosły i usprawniły cały szereg funkcji miasta, aby w ten sposób weszły w życie wszystkich mieszkańców. A sądzę, że uczelnie mogą spełniać te zadania, nie pracując w

największym gwarze Piotrkowskiej i Zielonej. Specyficzne zadania wyższych uczelni polegają na prowadzeniu prac badawczych i rozbudowywaniu wiedzy, na kształceniu specjalistów do różnych zawodów, na wychowywaniu młodzieży, której przekazujemy nasze narodowe dziedzictwo kulturalne z nakazem jego rozwijania i pomnażania oraz na organizowaniu środowiska kulturalnego w mieście i jego regionie. Te wszystkie zadania wyższe uczelnie mogą spełniać nie tkwiąc bezpośrednio, tj. przestrzennie, w życiu miasta. Zasadniczy jest tu nie kontakt przestrzenny lecz więź społeczna, intensywne kontakty zinstytucjonalizowane, które wprowadzają pracowników i studentów w ścisły kontakt i współpracę z ludnością, poprzez instytucje organizujące życie gospodarcze, społeczno-polityczne i kulturalne miasta.

Tu dochodzę do drugiego zarzutu i twierdzę, że ulokowanie szkół wyższych w osobnej dzielnicy, nieco odsuniętej od największego gwaru miasta, sprzyja prowadzeniu pracy naukowej i dydaktycznej. Jedną i drugą wymaga skupienia i spokoju. Prowadzenie pracy dydaktycznej wymaga, aby laboratoria i sale wykładowe różnych wydziałów były położone możliwie najbliżej. Np. zakłady fizyki prowadzą nie tylko własne prace badawcze i dydaktyczne, lecz także mają zadania usługowe w stosunku do chemików, biologów i in. i dlatego studenci, np. biologii, udając się na zajęcia z fizyki, nie powinni tracić zbyt wiele czasu na przebiegi czy przejazdy, jak to się teraz dzieje. Ponadto sądzę, że ulokowanie Uniwersytetu, Akademii Medycznej i innych

szkół wyższych w jednym miasteczku, ułatwi nie tylko pracę dydaktyczną lecz także powstanie środowiska intensywniejszej pracy naukowej, gdyż ułatwi kontakty między uczelniami i katedrami, obecnie bardzo utrudnione odległością.

I wreszcie sądzę, że ulokowanie miasteczka w proponowanej dzielnicy, spełni również poważne funkcje urbanistyczne, powiąże bowiem Widzew i Stoki lepiej i mocniej ze śródmieściem. Nie będąc urbanistą, nie mogę podać tu żadnej fachowej argumentacji poza argumentacją masową, przez zdrowy rozsądek. Otóż wydaje się, że jeżeli zostanie zabudowany teren poza radiostacją, gdzie w tej chwili znajdują się puste pola, lub zyspiska śmieci, oddzielające robotniczą dzielnicę Widzewa i nową dzielnicę mieszkalną Stoki od śródmieścia, to poprzez ten teren zabudowany przejdą odpowiednie linie komunikacyjne i miasteczko uniwersyteckie stanie się nowym centrum. Zostanie zabudowana i zorganizowana pusta przestrzeń, miasto rozciągnie się na wschód i wyjdzie z ram zakreślonych bądź to przez pierwotne koncepcje planistyczne, bądź też przez bezzaplanową zabudowę drugiej połowy XIX wieku. A zatem, tu ulokowane „miasteczko uniwersyteckie” spełni również poważne zadanie urbanistyczne. Uczelnie nie zostaną więc odsunięte od miasta, lecz przeciwnie, staną się klamrą spajającą odległe dzielnice, a przez to znajdą się także i przestrzennie w centrum uwagi mieszkańców tych dzielnic. Należy bowiem przypuszczać, że nowe dzielnice mieszkalne na Stokach będą się dalej rozwijały, że jeżeli zniknie linia kolejowa prowadząca do Dworca Fabrycznego, to nowa dzielnica uniwersytecka uzyska połączenia z południową częścią miasta, że zatem, będzie ona organizowała urbanistycznie tę część miasta.

Opowiadam się więc za budową „miasteczka szkół wyższych” tam, gdzie jest projektowane. **JAN SZCZEPAŃSKI**

MATEUSZ DZIEWISZ

INWOKACJA DO... ROZSĄDKU

MŁODZIEŻ wstępująca na studia polonistyczne sprawiła nam tego roku miłą niespodziankę. Jest po prostu lepiej przygotowana do studiów, niż w latach ubiegłych, rokuje dobre nadzieje.

Ta pomyślniejsza sytuacja prowokuje do rozmyślań, zmusza do postawienia szeregu pytań. Oto one: czy uniwersytecka polonistyka kształciła ma jedynie nauczycieli języka polskiego, czy też ambicje studium winny być szersze, zmierzać do przygotowania miłośników i znawców języka i literatury, niezbędnych przecież na placówkach naukowo-badawczych, krytyków literackich, pracowników wydawnictw, radia, filmu, prasy i teatru? Są przecież w tym zakresie doprawdy niemałe potrzeby.

Aby na te pytania można było w przyszłości odpowiedzieć pozytywnie potrzebny jest przede wszystkim... zdrowy rozsądek. Gdzie jak gdzie, ale w polityce przydziałów pracy winien on szczególnie obowiązywać. Nie może przecież być jak jest, że absolwenta filozofii pcha się na siłę do 6-klasowej szkoły wiejskiej. Szkoda doprawdy czasu i atlasu, kiedy po żmudnych i kosztownych studiach pan magister-polonista uczy... śpiewu. Równocześnie — jak to się dzieje np. w redakcji „Gazety Białostockiej” — młody dziennikarz od kilku lat usiłuje skończyć jakieś studia, pragnie opanować określoną dyscyplinę nauki, aby nie być kompletnym ignorantem, co widać w każdym niemal jego artykule. Przypuszczam, że tego rodzaju „cudownych” dziennikarzy nie brak w naszych prowincjonalnych gazetach codziennych.

Uważam, że poszczególnym uniwersytetom należałoby przydzielić określone rejon, dla potrzeb których kształciłoby polonistów, czy — mówiąc szerzej — humanistów. Gruntowna znajomość potrzeb szkół średnich, rozmaitych agend życia kulturalno-oświatowego stałaby się w takich warunkach możliwa.

* * *

Rozsądek przydałby się i gdzie indziej. Ambicją polonistyki, jak zresztą wszelkich studiów humanistycznych jest kształcenie kadr nie tylko nauczycielskich, ale i naukowych — historyków literatury, krytyków. No a czy istniejące programy i metody nauczania, wreszcie sama atmosfera studiów sprzyjają wszechstronnemu rozwojowi uzdolnień i talentów?

Wielu już mówiono, pisano, że nasza młodzież akademicka cierpi na swoistą chorobę — niedowład samodzielnego myślenia. Leczone to chorobę w rozmaity sposób ze skutkiem, który wcale nie określa powiedzonko: operacja się udała, ale pacjent umarł. Jeden ze środków zapobiegawczych, znany w dziejach biurokracji — to leczenie administracyjne. Sam byłem na kursie w Ostródzie, bodaj w 1953 roku, gdzie dyskutowano zawzięcie nad statutem Studenckiego Koła Naukowego, formami jego przyszłej pracy. Uradzono, że w Kole trzeba uczyć studenta techniki pracy umysłowej, sporządzania rozmaitych „konspექtyw”. Tymczasem owe „konspექty” stanowią istną zmore, jaką pozbawioną rozsądku mechanizną robotę streszczającą cudze myśli, nie mającą zbyt wiele wspólnego z walką o samodzielną myśl. Nie tędy więc droga. A którędy?

Były przecież w Łodzi lata, kiedy koła naukowe, zwłaszcza — polonistów stanowiły prawdziwą kuźnię nowatorskich metod badawczych w literaturze, kiedy wrzalo tu od zawziętych sporów, polemik, dyskusji. Koło utrzymywało bliski kontakt ze Związkiem Literatów zjazdach młodzieży polonistycznej, Polaków, brało udział w dorocznym gdzie można było przedstawiać wyniki swoich prac badawczych. I co niemniej ważne — poloniści pisali do wychodzącej niegdyś w Łodzi „Wsi” i „Kuźnicy”. Pisali zresztą i profesorowie. Temu żywieniu sprzyjała niewątpliwie atmosfera ideowego i intelektualnego fermentu, charakterystycznego dla Łodzi w pierwszych powojennych latach. Dziś obserwujemy niedobrą, bogobojną ciszę. I chociaż atmosfera pierwszych powojennych lat już się nie powtórzy — przybliżenie polonistyki łódzkiej do życia jest przecież możliwe. Związanie naszego studium z życiem — powrót do wielkich dyskusyjnych spotkań, na których skrzyżują się ambicje, poglądy, żywsze kontakty ze środowiskami twórczymi — to jedna z dróg. Perspektywa o tyle lepsza, że mamy nareszcie w Łodzi pismo społeczno-kulturalne.

Brak rozsądku widoczny jest w ciągłych zmianach programu. Najpierw mieliśmy studium czteroletnie, następnie — trzyletnie, z kolei na powrót czteroletnie, ostatecznie stanęło na pięcioletnim, które z pewnością przyczyni się do wzrostu zainteresowań naukowych młodzieży.

* * *

Przewyciężono tradycję starego, liberalnego typu uniwersytetu. Generalnie rzecz biorąc — słusznie. Tylko, że w ferworze walki z przeżytkami — wzmieciono i to, co było dorobkiem trwałym w historii i organizacji uniwersytetu. Tendencja jak największego ujednoliceń studiów wszystkich wydziałów, bez uwzględnienia ich specyfiki doprowadziła do mimowolnej parodii

studiów polonistycznych. Studia nad językiem i literaturą zostały podporządkowane takim przedmiotom jak podstawa marksizmu-leninizmu, ekonomia polityczna, ale, co najprzykrejsze, w sposób zabijający specyfikę przedmiotu nauczania. Chodzi przecież o to, by polonistykę wykladała z marksistowskich pozycji zachowała swoją odrębność, nie była wszech nauką — ekonomiczno-polityczno-literacką.

Zdrowy rozsądek musi się także odezwać w kwestii, której podstawa jest niewątpliwie słuszną, w kwestii — dyscypliny studiów. Nie można jej mechanicznie pojmować. Trzeba uwzględnić specyfikę studiów, polonistycznych zaś w szczególności. Studia te wymagają w dużej mierze indywidualnej i samodzielnej pracy studenta. Otóż przy wprowadzeniu dyscypliny pracy zwraca się uwagę na kolektywny i tylko na ten charakter pracy, lekceważąc indywidualną, samodzielną walkę o pogłębienie wiedzy, nie doceniając wielu żmudnych godzin pracy nad tekstami literackimi, jakie spędza każdy ambitniejszy polonista. Kiepski to student, który zajęcia uniwersyteckie uważa za alfę i omegę.

Dotykam tu jednego tylko zagadnienia związanego z dyscypliną studiów, wiadomo jednak, że stanowi ona niezwykle bogaty załącznik do dziejów braku samodzielności myślenia studentów.

* * *

I jeszcze raz o rozsądku. Nasza łódzka polonistyka ma poważny dorobek naukowy i pedagogiczny, a jednak jest o co się niepokoić.

Rozważmy tylko sprawę taką — co wie nas łódzki polonista o literaturze współczesnej, która powinna być otoczona szczególną serdeczną opieką? Wystarczy tylko porozmawiać z naszym absolwentem, aby wiedzieć, że nie jeden wychowanek dobrego liceum wie zna-

cznie więcej. I czemuż tak się dzieje? Po pierwsze — winien tu program, który jest zły, niekompletny, zepchnięty po trosze do roli kopciuszka, jeżeli chodzi o literaturę współczesną. To co się na uniwersytecie mówi o latach powojennych — jest po prostu zabawne, nie mówi się bowiem prawie nie. Kiepski to prognostyk dla przyszłego młodego krytyka literackiego. Ale i program nie załatwi wszystkiego. Wykładowcę do tego okresu trzeba znaleźć pośród najpoważniejszych krytyków. Tak jest na uniwersytetach warszawskim i krakowskim. Czemu więc nie może być w Łodzi? Tu należy szukać przyczyn, dla których nasz ośrodek w ostatnich latach nie wykazał ani jednego krytyka. Utalentowaną niekiedy młodzież zbywa się politycznymi formułkami, a solidnej pracy nad poznaniem współczesnej literatury jak nie ma, tak nie ma.

* * *

Jako historyk literatury przywiązuję szczególną wagę do studiów literackich. Uważam, że zadaniem polonistyki jest również kształtowanie kultury literackiej zarówno młodzieży studiującej jak i naszego robotniczego miasta. Dobrze to były tradycje, kiedy na wykłady z literatury przychodzili nie tylko poloniści, kiedy do kół polonistów mogli należeć wszyscy studenci mający literackie zainteresowania. Bez zrozumienia, że nie można pracować w oderwaniu od ludzi naszego miasta — bogobojna atmosfera będzie trwała. Więcej dyskusji nad pracami młodych a i samych wykładowców, bliżej szkoły, instytucji walczących o upowszechnienie literatury, bliżej środowisk twórczych — tymi akcentami chciałbym zakończyć swoją wypowiedź, zapewne niepełną, sygnalizującą tylko, którą traktuję jako głos w dyskusji na temat humanistyki uniwersyteckiej.

MATEUSZ DZIEWISZ

BYŁOBY to rzeczą niepojętą, gdyby Oleszko przy swej odwadze, bezkompromisowości i funkcji korespondenta wiejskiego mógł długo pozostać w cieniu. Przy najbliższych wyborach partyjnych, wiosną 1950 roku, towarzysze guranowscy wysunęli go na stanowisko sekretarza. Leśniczy Gradek był na tyle sprytny, żeby zawczasu wycofać się z honorem dając do zrozumienia, że nadmiar pracy zawodowej nie pozwala mu pełnić należycie obowiązków partyjnych. „Czy tylko ja jeden jestem w Guranowie? — mówił wielkodusznie. — Niech inni też się uczą, niech popracują dla dobra ogółu”.

W ciągu roku 1950 Oleszko przeszedł dwukrotnie szkolenie partyjne, oceniono go jako aktywniejszego niż w skali powiatowej, zaczęto przebiekać o przeniesienie go na stanowisko poważniejszego, bardziej odpowiedzialnego. On sam, będąc pewny, że do nastąpić wcześniej niż później, z konieczności jakby mniej teraz poświęcał uwagi życiu gromady, co nie znaczy jednak, by się miał od swych towarzyszy oddalić. On, Bobiński, Wiśniewski, Bluzarczyk, bracia Supernak i jeszcze kilku tworzyli jakby pień organizacyjny z którego powoli wyrastały coraz to nowe gałęzie; z końcem 1950 roku organizacja podstawowej przybyło czterech członków.

Wiadomo, że zanim gromada przystąpi do założenia spółdzielni produkcyjnej, przechodzi ona kilka faz przygotowawczych. Najpierw ludzie partyjni, z reguły mężczyźni, wyrażają swoje zrozumienie dla korzyści, jakie daje praca zespołowa i zasadniczo zgadzają się na założenie spółdzielni. Po tej zasadniczej decyzji następuje reakcja, która potwierdza przysłówie, że dobrzy chęciami piekło wybrukowane, a którą można by wyrazić tak: „No, teraz, kiedyśmy się zdecydowali wziąć do roboty, możemy się na konto trochę przepaść”. To spanie trwa dopóki agitatorzy powiatowi lub najaktywniejsi z gromady nie zagrąją podbiki — i wtedy następuje druga faza: tworzenie komitetu założycielskiego. Ale wtedy też właśnie dochodzi do głosu silna opozycja w postaci tych, co to — jak określił Domisiak — „macają kury”. Dotychczas kobiety siedziały cicho, nie przejmując się teoretycznymi rozmowami mężów, teraz jednak, gdy ci na serio zaczynają się brać do roboty — one też. I zaczyna się okres przewlekłych, jakże nieraz przykrych rozmów, pertraktacji, klamliwych wybiegów, wzajemnych wymyślań, skłaniania sobie do oczu. Niewiele jest takich, którzy by wyznali otwarcie: „Nic na razie nie poradzę, moja żona stawia mi ultimatum; albo ja, albo spółdzielnia — nie chcę mieć piekła w domu” — więc wymyślają przeróżne preteksty. Wąsowicz mówi, że spółdzielnia nie można zakładać z samych tylko działad, trzeba wciągnąć pełnorolnych. Wiśniewski i Obierek — że nie posiadają na tyle zapasów żywności i gotówki by przetrzymać bezdochodowy okres pracy zespołowej. Bluzarczyk i młodszy Supernak — że mają w planie przeprowadzić do Stronia Śląskiego. Kosiński i Bartnik — że najpierw trzeba wyremontować ośrodek i uzyskać od nadleśnictwa gwarancję co do pastwisk potrzebnych dla owiec. A są wreszcie tacy, którzy obiecują przylączyć się do spółdzielni dopiero wówczas, gdy zobaczą, że ona się już rozwija i przynosi dochody.

Oleszko zdał sobie sprawę, że gromada nie ruszy z miejsca dopóki do akcji nie zostaną wciągnięte kobiety. Na jednym z partyjnych zebrań w styczniu 1951 roku, po burzliwej dyskusji, rzucił hasło: „Na razie zostawmy sprawę spółdzielni, a werbujemy kobiety do partii”. Pierwszy Domisiak zobowiązał się wciągnąć swoją żonę, za nim Bobiński, Bluzarczyk, Wiśniewski, a z pełnorolnych — zabużanin Kałużny.

I znów w Guranowie nastąpił okres martwoty, wypadki, jak zwykle na wsi, posuwały się zółtym krokiem. W ciągu zimy u Gajusa nadal odbywały się wieczorne posiedzenia z udziałem Kobryńskiego, Koszewskiego, Pachlika, Surmańskiego, ale już bardziej zakonspirowane, w pokoju na piętrze, przy radiu skwapliwie tłumionym i regulowanym ręką Gajusa. Oleszko często wyjeżdżał do powiatu, gdzie dał się poznać jako zdolny agitator, toteż Komitet Powiatowy powierzał mu coraz trudniejsze obowiązki. Poza tym nie się nie działo — śnieg grubo przysypał pola, drzewa jakby ścięte mrozem stały nieruchomo w białych papachach, liści i łasce skradły się ku ludzkim osiedlom, a Bluzarczyk widział pewnej księżycowej nocy dwa roste wilki, które przecięły wieś i obojętne na skowyczenie psów truchciłkami poszły ku granicy czeskiej.

Dopiero na wiosnę, gdy na południowych stokach ruszyły trawy i oziminy, zaczęło się coś dziać. Przede wszystkim w połowie kwietnia, na nadzwyczajnym zebraniu partyjnym, zwołanym przez Komitet Gminny, wykluczono z partii Gajusa. Zarzuty: wrocie wypowiedzi przy piwie w sklepie, zorganizowane słuchanie audycji londyńskich, opuszczanie zebrań itd. Rzecz zmienną, że oprócz robotników leśnych przeciwko Gajusowi ostro wystąpił pełnorolny Kałużny. Gajusa wykluczono 18 głosami przy czterech wstrzymujących się, czym zresztą on sam zdawał się być nie bardzo zasmucony, bo uśmiechał się ironicznie i majestatycznym krokiem opuścił zebranie.

HENRYK WORCELL

NIE MA OLESZKI W GURANOWIE

Z początku maja odbyło się drugie zebranie partyjne, poświęcone przyjęciu trzech nowych członków: pełnorolnego Albiniaka, żony Kałużnego i żony Domisiaka. Z przyjęciem Domisiakowej było trochę śmiechu, bo gdy sekretarz gminy zapytał ją, dlaczego chce wstąpić do partii, odpowiedziała:

— A co miałam robić? Mój stale mi gada: „Tyś moja żona nie tylko do łóżka i miski, musisz iść ze mną i z partią” — to i poszłam.

Na tymże zebraniu Oleszko miał swoją jakby pożegnalną mowę. Nikogo tym nie zaskoczył, bo już wiadomo było, że od czerwca ma przejść na stanowisko sekretarza gminnego w L., ale mimo to markotno się ludziom zrobiło, szczególnie Bobińskiemu i Domisiakowi, patrzyli jeden na drugiego jak gdyby stwierdzając: „A jednak to prawda”. Mimo woli przychodziło im na myśl pytanie: kto teraz będzie im przewodził, kto zastąpi Oleszkę? Ze Gradek aż się palił na to stanowisko, niby panna do ślubu, o tym wiedzieli, bo ostatnio znów wykazywał aktywność; często maszerował przez wieś powiewając rozpiętym płaszczem, a na zebraniach przemawiał wyciągając rękę leninowskim gestem: „Towarzysze, towarzysze, towarzysze!” Nie, tutajśm ludziom nie zamydli oczu, natomiast zachodziła obawa, że Komitet Gminny może uznać jego mowę za złoto, a nie wiadomo też jak się przy wyborach zachowają niektórzy, uzależnieni od Gradka, robotnicy leśni.

Lato 1951 roku miało sześć wieńców, żniwa miały przebieg pomyślny. Jak co w pierwszych dniach sierpnia, kiedy w polu pozostały zapóźnione owoce, a dawno przekwitły len zdobiły już tylko mosiężne łebki nasienne, pod plebańskim lasem zeszli się trzej ludzie: Domisiak, starszy Supernak i Bluzarczyk.

Wszyscy trzej byli na swoich działkach i tak jakoś bezwiednie zeszli się ku sobie. Pewnie dzisiejsza pogoda nastroiła ich wyjątkowo przyjaźnie, bo rzeczywiście aura panowała niezwykła, możliwa tylko w okolicach górzystych.

Całe niebo udekorowało się przedziwnie. Na zachodzie jaśniał ogromny przestwór czystego, jakby porcelanowego błękitu, tu zaś, nad Guranowem, mała chmura, nie większa od pegeerowskiej łaki, siała drobny deszcz. Daleko na południu, gdzie w okolicy Czeskiej Kopy, szła fioletowa chmura miotająca błyskawicami — słychać tam było głuchy pomruk toczący się po górach i zamierający w przepastnych dolinach. Na północnym zachodzie także ciemniały chmury i padał deszcz, a widoczny tam kawałek tęczu zdawał się być ognistą komętą, która mija glob ziemski i odchodził w zaświaty. Poza tym, gdzie spojrzeć — błękitne dziury w obłokach, srebrne pieniażki, welniste kłębiaki, pływające łabędzie, deszczowe firanki — od czasu do czasu w ciemnych masywach cienkie sztylceki błyskawic.

— Ciewy, co się to wyrabia — powiedział Domisiak podchodząc leniwie do swych kamratów i wskazując na niebo. Spojrzeli i skinęli głowami. Supernak wykonał ruch jakby się

chciał cofnąć przed nadciągającą od strony wsi deszczową błyskawicą. Przez dłuższą chwilę wszyscy trzej milczeli jak ludzie, którzy mają coś ważnego do powiedzenia. Pierwszy odezwał się Domisiak.

— Jest list od Oleszki.

— Do kogo pisał?

— A do kogóżby jak nie do Bobińskiego?

— I co pisze?

— Ano, znowu idzie do szkoły.

Sędziowski. Partia go wysłała. — Skurczalaga! — z podziwem wykrzyknął Bluzarczyk. — Ten to jedzie! Niedawno z nami szła w lesie składać, a tu masz — sędzia! I co więcej pisze?

— Ano, pyta się, czy na jesień dojdziemy do zgody z tą spółdzielnią. A co najważniejsze, to pisze tak: „Sprawa nie posunie się u was ani na krok jeżeli nie wciągniecie kobiet. Mamy już doświadczenie i wiemy, że kobiety mogą wam pracą albo bardzo utrudnić, albo ogromnie ułatwić, dlatego starajcie się wszelkimi siłami wciągnąć je w sam środek zagadnienia, tak żeby miały poczucie, że one w spółdzielni rządzą i decydują”.

Domisiak mówił, a równocześnie daleki grzmot jak gdyby grubą linią podkreślał jego słowa.

— A co? — spojrzał tryumfalnie na towarzyszy. — Czy ja nie to samo ciągle mówię? Baby trzeba ściągać, baby!

— A co ty ode mnie chcesz? — oburzył się Bluzarczyk — moja już się godzi i nawet Wiśniewską obraża.

Supernak przygarbił się jakoś i bokiem patrzył w pole — wiadomo było, że z jego żoną nic nie można było wskorąć.

— Ty! — palcem wycelował w niego Domisiak — wiesz co mi przyszło na myśl? Już wiem z której strony twój podejść. Jak to Oleszko pisze: „Baby w sam środek”? No to bierzmy twój, niech rządzą całym kurskim gospodarstwem. — Supernak nie na to nie odpowiedział, więc Domisiak znów:

— Ty masz pojęcie jak kobiety na to leżą? W spółdzielniach wszystkie się o to dobijają.

Supernak uśmiechnął się ponuro i odparł:

— Wiadomo, interes z jankami dobry... Nie, ja tego nie chcę.

— No, to co ty w ogóle chcesz? — zirytował się Domisiak. — Ani tak, ani siak. To w Żelaznej Wodzie już się trzydziestu chłopów zadeklarowało, w Szumilasach już ośrodek remontują, a tu... Co to, Oleszki nie ma, to już wszystko stało?

— Nie gźij się — wtrącił Bluzarczyk — żniwa były. A po drugie, nie trza było na Gradka głosować, on taki sekretarz, jak ja ksiądz.

— A czy ja głosowałem? — sierdził się Domisiak. — Diabli wiedzą, jak to się stało. To wszystko przez to, że się bolic papierków. Wiśniewski też dobry numer, woli dziesięć fur gnoju załadować, niż jeden protokół napisać.

Mówiąc to, zdawał się nie czuć, że deszcz spływa mu z czoła i kropelkami kapie z końca nosa. Supernak spojrział w górę, jak gdyby chciał stwierdzić, że jednak można się było cofnąć przed tą chmurką i uniknąć matrysku, po czym, z jakąś niezwykłą

powagą, przyjrzał się Domisiakowi i rzekł:

— Widzę, żeś ty prawdziwy... To do brze, Nie trzeba mojej babie kurnika obiecywać, ona i bez tego pójdzie.

— Jak to?

— No tak... Jak ja naprawdę będę chciał, ale tak na sto dwa, to ją przebie. A właśnie teraz chcę.

— A toś ty dotychczas nie chciał?

— Chciałem, ale ot tak, w powietrzu. I tak jest z Wiśniewskim, z Wąsowiczem i innymi.

— Skurczalaga! — wykrzyknął Bluzarczyk.

— He, bracie — zawołał Domisiak — jak ty tak gadasz, to widzę, że od jesieni coś będzie.

W ten oto sposób spółdzielcy w Guranowie weszli w trzecią fazę organizacyjną: zbierania deklaracji członkowskich.



Rys. Cz. Sadowski

Któż wie, kto się najwięcej do tego przyczynił? Oleszko swym listem nadstawił do Bobińskiego, czy Domisiak swym szczerem zapałem i troską o przyszłą spółdzielnię, czy wreszcie Supernak swoją decyzją przełamania oporu żony? A może też wpłynęła na to niezwykła pogoda, chmury kłębiące się na niebie, ciemiste girlandy dzikiej róży zroszone deszczem, słoneczne łaty sunące po ścierniskach, po łagodnych zboczach, po brzoźowych zagajnikach i ciemnych borach świerkowych?

Trzej przyjaciele doliczyli się czterem pewnych członków i postanowili na niedzielę zwołać zebranie.

Być może, każdy z nich cofnąłby się na swoje własne podwórko, gdyby przewidział, na jakie trudności, jakie kłopoty natkną się w czwartej fazie organizowania spółdzielni. Samo zebranie odbyło się nadszpiezwane gładko i dało nieoczekiwane rezultaty, gdyż nie czemastu, ale aż dwudziestu dwu ludzi podpisał deklarację. Wybrano też tymczasowy zarząd w osobach Domisiaka, Bluzarczyka, Supernakowej i Bobińskiego.

Cztery tygodnie później Bobiński w obecności swych towarzyszy pisał do Oleszki:

„Z tym wszystkim mamy urwanie głowy. Jest tylko pięciu pełnorolnych, a reszta, wiesz jacy. Ale wolałbym, żeby tych hektarów wcale nie było, bo się z nimi nie możemy dogadać. Wszyscy leśni zgodziliby się, żeby wziąć pożyczkę 60 tysięcy, kupić z 40 owiec, 5 krów i 5 koni, a resztę zużyć na zalizki dla tych, co do przyszłego rozliczenia nie wytrzymają, ale ci grubsi nie chcą się na to zgodzić. Ale i sami leśni niedobrze robią, bo zamiast brać się do roboty przy ośrodku albo w polu, chodzą do lasu, bo chcą się na zimę ubezpieczyć, czemu i ja się nie dziwię. Inna znowu sprawa z Kałużnym i Albiniakiem. Jak się wpisywali do spółdzielni, to było mówiono, że się przeprowadzą z tamtego końca wsi, bliżej nas, na miejsce Florka i Barcka, a ci pójdą na tamten koniec, i tak byłoby dobrze, bo ziemia i ludzie byłiby w kupie, a teraz jak przyszło do tego, to Florek i Barcik nie chcą się ruszyć, bo ich Gajus zbuntował, że załatwi w nadleśnictwie sprawę tych pastwisk dla owiec, a teraz coś kręci, gada, że do tych pastwisk większe prawa mają ci w Piotrowie, co też chcą spółdzielnię założyć. Mamy niby pięć krów swoich, ale co z tego, kiedy z paszą jest kruch. Można by w piotrowskim PGR za robotę dostać liści, buraczanych, kombinowaliśmy, żeby kiszkonki na zimę narobić, to znów nie ma komu iść na odrobek za te liście. Wszystko idzie jak z kamienia, trzeba się na wszystkie strony użerać, dobrze jeszcze, że Domisiak i Bluzarczyk pomagają, a Supernak najwięcej w polu robi. I nie mamy jeszcze ani księgowego ani oborowego, wszystko się robi tak na pałę, żeby ino coś pchnąć, bo inaczej to nie wiemy, jakbyśmy na wiosnę wyładowali”.

W dalszym ciągu listu biedny Bobiński prosił Oleszkę, by przyjechał do Guranowa na dwa, trzy dni i pomógł im w pracy organizacyjnej.

Niestety, Oleszko nie zjawił się. Przybyć nie mógł, bo sam był przeciążony pracą, a już za dwa tygodnie miałjechać do Szczecina, do Szkoły Sędziowsko - Prokuratorskiej — ale za to w liście nie żałował pouczeń i napomnień. Przede wszystkim radził, aby za wszelką cenę obrobili i obsiali pole. „Nie ma nic gorszego dla spółdzielni produkcyjnej, jak pole stojące ugorom, bo takie pole nie tylko, że nie przynosi żadnego dochodu, ale co gorsza, odstrasza i roznosi ludzi na wszystkie strony. Co do pożyczki, to nie zważajcie na pełnorolnych, bierzcie te 60 tysięcy i zakładajcie owczą fermę. Nadleśnictwo przyzna wam łąki na Sowińcu, dzwoniłem w tej sprawie do Komitetu Powiatowego — powiedzcie mi, że załatwią, skoro tylko będzie gwarancja, że odczaracie łąki. Czy znasz tego goralą w Piotrowicach, Majerczyka? Poproście go, żeby do was zagłądał i cały kierdel kontrolował, bo z owcami różnie bywa, gdy się znajdują w nowych warunkach klimatycznych, a on wie, kiedy im trzeba zadawać świerczynie, albo niektóre zioła do paszy”.

W ogóle w sprawach gospodarczych Oleszko był drobiazgowy, nie pomijał

żadnych szczegółów, radził, by zakupili do siewu ziarno kwalifikowane, by przygotowały i zwapnowały przed zimą rolę pod lucerną, by pomyśleli o nieocenionym dla użytku łąki komposcie itd. itd. W końcu pisał tak:

„Ze macie urwanie głowy to rzecz naturalna. Jakżebyś chciał inaczej? Całe wieki gospodarowaliśmy indywidualnie, przywykliśmy do „świętej”, prywatnej własności i chcemy, żeby nagle i łagodnie przejść do kolektywu? Nie, bracie. Wszędzie jest to samo co u was, albo jeszcze gorzej. To jest rzeczywiście rewolucja.

Mamy wielką, może jedyną w historii szansę, aby się stać narodem produkującym w świecie i tej szansy nie wolno nam zaprzepaścić. Jesteśmy odpowiedzialni przed historią i przyszłymi pokoleniami, nie wolno się nam bać takich karzelek jak Gajus albo Gradek, nie wolno się zniechęcać trudnościami natury gospodarczej. W tym bałaganie, jaki macie, trzymajcie się jednej zasady: zaczynajcie! Nigdy nie zwlekajcie z rozpoczęciem czegoś, bo rzecz raz rozpoczęta już się nie zatrzyma, musi iść naprzód”.

Bobiński skończywszy czytać westchnął: „Oj, bracie” i zamyślił się. A wieczorem zwołał towarzyszy i przeczytał im list na głos. Gdy skończył w izbie zaległo milczenie zmaczone tylko okrzykiem Bluzarczyka: „Skurczalaga!”. Wszystkim utkwiło w pamięci zdanie Oleszki o odpowiedzialności przed historią i przyszłymi pokoleniami, ale gdzie im tam było do tego! Tu zwyczajna izba i dym z papierosów, dziecko płacze za ścianą, a jutro gnój trzeba wywozić pod buraki. Historia, rewolucja, pokolenia... Czyżby naprawdę te rzeczy działy się tu, w tej izbie, w tej wsi? A im się zawsze zdawało, że to gdzieś na zewnątrz, daleko, w Warszawie, w Moskwie.

Ten i ów chrząknął, poruszył się na krześle, wreszcie Supernak wstał, podciągnął spodnie w pasie i powiedział:

— No, trza iść, dzień krótki, a jutro ten klin pod wykę muszę zaościć.

Domisiak też zdźwignął się z ławki.

— Róbcie co chcecie, ale druga fura gnoju musi być, bo konie darmo nie będą stały.

— Przecie można od Albiniaka furę wziąć! Jedź z rana i weź, a jak nie będzie chciał dać, to pogadamy inaczej.

Z kolei Wiśniewski podniósł się z krzesła.

— Chodźcie który ze mną do tego Wąsowicza. Niech on powie: tak albo tak. Na dwie strony nie można, albo jest spółdzielnia, albo nie.

— Czekaj! — zawołał Bluzarczyk. — Ja idę z tobą.

A Supernak, który już nałożył czapkę na głowę, zatrzymał się przy drzwiach i zwrócił do Bobińskiego:

— A jak będziesz pisał do Oleszki, to pozdrów go ode mnie. Nie zapomnij!

HENRYK WORCELL

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

Dom odzyskany

Osadnikiem z pow. kieleckiego

Często powraca rodzinny dom — i czuję zapach ścian bielonych —
— wapno z lakmusem — i coś śpiewa snom,
słońce lśni w twarzach pochylonych.

Wiem: sen wygląda przykre rysy,
z przeszłości rys najmiłszy łowi,
zimne klepisko się miłe przyni —
matka smutnego nie nie powie.

Co wyplakała, wsiądko w przeszłość,
— na jawie często drzazga kluje —
w marzeniu pieśń się spleta z pieśnią,
przez szpary promień mój się snuje.

Nie ma już dzisiaj tego domu,
ślad po nim nawet zaozary,
padł od siekiery, nie od gromu,
nie ma kto w miejscu tym przystanąć.

Wysili mieszkańcy chaty wszyscy
ze wsi, gdzie rzadko maj był jaw,
wiatr ślady stóp żołnierskich czyścił
pod horyzontu bloń jaskrawą.

Nieślij dobytek swój ubogi
z pierzyna i kraciastą chustą.
Dymil Wrocław, Szukali drogi
poprzez ulicę nagą i pustą.

Szli dalej — wieś ich rąk czekała.
Szli dalej — plugom czas na pola.
Szli dalej — wolna ziemia cała,
i tylko świeży grób ich bolał.

Ze wsi rodzinnej mój bliszy
wysili w maj wolny, w maj czerwony,
nad Odry szeleści młodych liści,
dom odzyskany — ocalony.

Opowiadanie o piątym roku

KIEROWNIK naszej tkalni, Polawski, ma za swoim biurkiem takie magiczne okienko. Wystarczy coś tam nacisnąć i okienko się otwiera, a z niego wyskakuje mała półeczka z aparatem telefonicznym. Pomysłowe urządzenie ma obsługiwać kierownika i zarazem „urzędasów”, którzy urzędują za jego plecami, za ścianą. Mam wrażenie, że to sprawia Polawskiemu za każdym razem taką samą przyjemność — jak zabawka dziecku. I tylko powaga zwierzchnika nie pozwala mu na zdradzenie się z tą niewinną słabością.

Tak było i tym razem, kiedy siedziałem naprzeciwko kierowniczego biurka, cierpliwie oczekując na to, co mi przyrzeczono — na rozmowę z uczestnikami dawnych wypadków rewolucyjnych. Polawski z wyraźną satysfakcją nacisnął to niewidoczne dla mnie coś i z okienka wyskoczył aparat. Wtedy władczym ruchem z lekka się obrócił i sięgnął po słuchawkę.

— No, jak tam, prędko? Czekam Tak, powiedziałem już: Krychę i Kielbasę Józefa do mnie, do biura.

— To nasze, można powiedzieć, filary współzawodnictwa — zwrócił się do mnie. — Zaraz tu będą. Mamy ich na zwłoka na ścianach dokoła tkalni wymalowali, z hasłami. Zresztą, sami zobaczycie.

W głosie jego wyczułem dumę.

2.

Wprawdzie nie zaraz, lecz po dobrym kwadransie, który zeszedł nam na wstępnej rozmowie o tradycjach tkalni, do drzwi zapukano i do gabinetu weszli dwaj starszakiowie w drelichowych kombinazonach. Jeden z nich był wyższy, z siwą czupryną nad czerwoną twarzą, drugi jakiś waty, zalizany i cichy. Usiedli obok siebie na krzesłach pod ścianą.

— Oto — oznajmił im Polawski — towarzysze chce usłyszeć, jak to było dawniej, rozumiecie? No, jeszcze za czasów carskich, jak się tam walczyło z kozakami. Powiedzmy w piątym roku. Opowiedzcie wszystko, coście sami widzieli i w czym braliście udział. No, mówcie wy, Kielbasa, jesteście wygadani.

Ten, co był wyższy wzrostem, spłótł między kolanami swe opanowane dłonie starego tkacza, które — jak pomyślałem — w owych bohaterskich czasach zapewne potrafiły nie tylko gaskać na krosnie świeżo utkane płótno, ale i sięgnąć po broń, i zaczął nie patrząc na mnie:

— To można, czemu nie. Wiadomo, jak to było z uciskaną robotniczą klasą. Stale bida w tyłek biła. Dawniej to każdy zwierzchny tylko tubudu na niego i dolożył jeszcze, bo to był beben i do tego się nadawał. Zły los: w domu pchła na łańcuchu i śleź w oborze, jak jesteś taki mądry, to zaciśnij pasa, żeby kichy walcia nie grały, i rób, bracie! Tera, ja tak rozumiem, też nie każdemu starczy na kielbasę albo, dla przykładu, na alkohol podniesiono ceny...

Ponieważ ostatnie słowa jakiś niespodziewanie zgrzytnęły, spojrzalem na kierownika. Polawski podrapał się ołówkiem po głowie i wtrącił.

— Do rzeczy, Kielbasa.

— Ja też mówię — ciągnął tamten. — Tera każdy może zaapelować. Bo, na przykład, ja tak uważam, że spirytus to jakby lekarstwo: tam się natrzeć, lub zażyć parę kropli...

— Dobrze, dobrze, innym razem o tym pogadamy, już dość tego. — A ja tylko dlatego, że ten pan pewnie z gazety...

— Mówcie, Kielbasa, lepiej jakie tam były strajki.

3. — Ano pewnie, że były — westchnął Kielbasa. — Ogłoszono, że tak powiem, strejk. Związki zaapelowały żeby nie robić i siedzieć przy krosnach — jakby może kto i chciał, to żeby nie miał dostępu. Wtedy dyrektor kazał zakratować wejścia.

— Jakto zakratować? — A no tak. Kazali ślusarzom zrobić żelazne kraty i wejście zastawić. Klódkę, o, takie powiesili. Ubiegli. To jest — związki. Robotnicy oczywiście, się zbuntowali. Szumią przed tkalnią, zafasowali takie sztaby i hurra! kraty rozbijać. Ludzi się zbiegło do licha. Kramu takiego narobili! A tu dyrektor na policję zadzwonił. Należało kozactwa na koniach, ludzisków potratali, pogarbowali nahajami, takie bestie mieli czarne nahaje. Jak palnie taką — ucho jak brzytwą zetnie, a jednemu to oko wybiło. Mnie kurtkę całusięnką na plecach pożgał, jakby kto nożem pociął. Ludzie krwią broczą, a też zrobili się jak zwierzęta zaciekli. Zamiast uciekać kto gdzie, to oni na kozactwo z gołymi pięściami, z kamieniami.

U nas w tkalni robiła taka jedna Orłowska z nielegalnych czerwonych związków. To ona, mało że baba, uczepiła się nogi kozaka. On żga nahajką przez plecy, a ona nie puszcza, włoży się za nim po ziemi, a nie puszcza. I co myślicie, ściąga z siódła. Robotnicy go zaraz sztabami zatłukli. Wtedy tamci, oczywiście, jak nie zaczęli strzelać! No, rozbiegli się wszyscy, na tym się skończyło. A mnie nasz majster kazał wieczorem się stawić, jak tylko się ściemni. I innym, kilkunastu nas było, też kazał. Pomyśleć tylko, jak to się człowiek nie narażał!

4.

Przejęty szczegółami opowiadania, wpatrywałem się w twarz mówiącego. Z małych niebieskawych oczek, trochę podpuchniętych i osadzonych tuż po obu stronach zwisającego i, jak to u staruszki, porowatego nosa, spoglądała na mnie prosta, naiwna dusza. Spod srebrzącego się zarostu przebiegała czerwona skóra nabrzmiałych policzków, które drżały z przejęcia. Ciągnął dalej:

— No, przysłizmy, a majster gada. „Chcecie dobrze zarobić? Ja was tylnym wejściem przez sortownię wypuszczę, jak mysz przesłizgniecie się, żywe oko nie zobaczycie!” Ludzie, oczywiście, się zrymają. Wiadomo rzecz. Strajkujący zdybia — kości polamią, i związki na zbity łeb wyrzucą. Zostaniemy jak te sieroty bez opieki.

— „Nie polamią — mówi — niech tylko spróbują, po naszej stronie prawo. A opieka, na co ona wam się zdała? Pan prezes to wasza opieka, on waszej wiernej służby nie zapomni, a forsiaki, swoją drogą, zawsze się przydadzą. Forsiaki jak prosiaki: podrosną — kielbasa będzie!” Tak nas ten zalewacz omotał. Do mnie mówił: „Ja ciebie podmajstrzym zrobię”. I przeprowadził nas tylnym wejściem.

Pracujemy, oczywiście, a strajkujący coś zwąchał, słyszą z zewnątrz, że krosna na chodzie, i na nas bez okna rzucają pogrozkami: „Wyjdźcie tylko — krzyczą — wy ogony fabrykanckie, mały japońskie, psia wasza mama!”

Tak robiliśmy może przez tydzień za kratami, niby prawdziwi aresztanci. Z dyrekcyj nam żupki nosili, na gołej ziemi spaliśmy. Wyjść boimy się, że nas po drodze na ulicy ochrzanią i omłocą. Tak też człowiek się naraża!

— Przepraszam — powiedziałem polapawszy się nagle — przecież pan był łamistralkiem!

Kielbasa lypnął w moją stronę swoim niebieskim oczkiem.

— A bo ja wiem? Walczyliśmy, a cośmy wywalczyli, proszę tylko postuchać.

I wygłasza dalsze dzieje swego bohaterstwa.

Tymczasem Polawski opuścił głowę, kreślił na okólniku ołówkiem trójkąty i starannie wpisuje w nie koła. A drugi starszerek nieruchomo wpatruje się w jakiś punkt na ścianie — gdzieś wysoko pod sufitem. Wtedy bliżej przyjrzałem się i jemu.

Z początku wydał mi się taki cichy i szary, że zupełnie o nim zapomniałem. A teraz widzę, że twarz jego jakby skamieniała. „Co za piękna starość!” — pomyślałem, i już nie mogłem oderwać od niego oczu.

5.

Kielbasa zaś ciągnął dalej. — Jak to wszystko uciхло, zaczęli

ludzi z budy wyrzucać. I na pierwszy ogień nas, bo związki, do przewidzenia, nas wyrzucili: za brak dyscyplinowania, mówią. Dyrekcja związkowców, oczywiście bała się ruszyć, żeby znów krzyku nie było, a nas — lu! na zieloną trawę. Taką nam dali dymę z miejsca. Z jednej strony robotnicy tygrysami patrzyli, ani się żadeń nie odezwali, jak do katów jakichś, a z drugiej — taka krzywdą nam się dzieje od dyrekcyj. Poszliśmy do prezesa, mówimy: „Jakiżże to tak, myśmy za was własnego życia nie szczędzili, a teraz nas woni, jak szmatę na śmietnisko? Czy to jest takie prawo ludzkie?”

A wtedy prezesem był sam Moritz Poznański. W oko sobie szkiełko wstał, gęba jak u żaby wścieklej, nie mówił, tylko jak pies szczekał na ludzi. „Co to — powiada — znów bunt, a forsy wam za waszą partacką robotę nie wybulono? To jeszcze czego chcecie? Do mojej gospodarki będziecie mi się tu wtrącać z waszym brudnym ryjem?” I gadać więcej nie chciał. Zabrał się i poszedł do swojej gabinetu. Taką to krzywdą się działa klasie robotniczej od fabrykantów.

Ludzie dnia wczorajszego

(Dokończenie ze strony 1)

nim została robotnicą, była służącą — kieleckich adwokatów, lekarzy, inżynierów. Tam zbierano się co popołudnie, pito, grano w brydża. Unikano kawiami. — Zaraz wszystko rozniósł — tłumaczył doktor CH. — Po co mają paplać? Oszczędźmy im fatygi.

Po roku doktor X. ożenił się. Razem z nim przyjechała do Kielc panna W. również lekarz-rentgenolog. W kilka miesięcy później zaczęto mówić, że są „po słowie”. Nie tak dawno temu arestowano ojca panny W. wówczas już pani X. Pracował on ongi w Komisji Specjalnej, a ostatnio — od kilku lat — był komornikiem. Zarzucano mu defraudację nie jednorazową, lecz wielokrotnie powtarzaną, tak iż wedle pobieżnych obliczeń przysługująca suma dobiegała miliona. Na kilka tygodni przedtem doktor X. kupił sobie w Kielcach kamieniec, a w Skarżysku — plac. Z racji teścia miał nieprzyjemności w partii, ale złożył samokrytykę. — Związałem się z wrogiem. I to jest moja wina — obiektywna wina, choć nieświadoma. Nie byłem czujny, i za to trzeba mnie bić, towarzysze, bić i nie oszczędzać. — Samokrytykę uznano za szczera i wystarczającą.

Pierwszy interes zrobił doktor X. znacznie wcześniej. Szpital ma wiele łóżek. Znaleźć miejsce przychodzi z trudem. X-a odwiedził kiedyś chory. Pokazał skierowanie i prosił o przyjęcie do szpitala. Zostawił 300 złotych. To był początek.

Doktor X. dziś chce kupić sobie samochód i zbudować willę na Słowiku — tuż obok campingowego domku adwokata A. Mówi — trzeba jakoś żyć — i — byłoby interes sędzi. — Nie lubi pieniędzy, ale rozumie ich przydatność. Sądzi, iż jest ona uniwersalna. Gdy spogląda na banknot — najpierw krzywi się z niechęcią, a potem myśli — oto klucz, którym otworzę każde drzwi. Klucz jest brzydki, lekki, załuszczone, ale nie oprze mu się żaden zamek. (Doktor X. miał chude dzieciństwo i ubogą młodzież. Pamięta o tym, choć po trosze pamiętała się wstydziła. Odbija to sobie teraz. Doktor X. ma dwuletniego synka. Kiedy bierze go na kolana i gładzi go pocieszonych włosach małego dziecka, mówi. — Nie będziesz chadzał w podartych spodniach. Nie będziesz bawił się nad rynsztokiem, ani ganiał po ulicy z zakrzywionym drutem za skradzioną matkę fajerką. Zabezpiecz cię! Dobrze cię zabezpieczę!

Doktor X. „czeka”, a może lepiej — „czekał”. Teraz już stracił nadzieję. Myślał, że to korytarz. Usiadł sobie na ławce, posiedzi. A znalazł się w pokoju. Musi w nim mieszkać. Jest z tego bardzo niezadowolony. Wierzył, że obudzi się pewnego dnia i wyjdzie do miasta i zobaczy krzątających się ludzi. Wrzesień powtórzy się ponownie, choć tym razem może w kwietniu, a może w listopadzie. Wiara ma to do siebie, że bywa rzeczą płonną. Wyzwał się jej więc, a właściwie udzielił prolongaty. Zdecydował — kiedyś — i w rzeczy samej nie wie już czy nadal jeszcze „czeka”, czy „czekać” przestał.

W Kielcach doktor X. przeczytał tylko kilka książek. „Przeminęło z wiatrem”, „Pacjent po pięćdziesiątce”, „Prokurator Alicja Horn”, trzy rozprawy o chorobach żołądka i jeszcze coś, czego nie pamięta. Na każdej premierze spotkanie go w teatrze. Kupuje dwa miejsca dla siebie i dla żony w łoży albo w pierwszych rzędach. Po przedstawieniu natychmiast idzie do domu. W międzyczasie mogło stać się coś w szpitalu, a wówczas lekarz dyżurny dzwoni do niego. Zapowiada zawsze, żeby „w razie wypadku telefonować” i przypomina numer swego aparatu. Zaraz zniknie za rogiem bocznej uliczki. Odrzuca się teraz jakby chciał sprawdzić — już nie słuchem, ale i wzrokiem — czy ktoś nie szepcze za jego plecami: „Lekarz z awansu”. Do widzenia, doktorze X, zmieszany doktorze X, zlepkę postaci rzeczywistych!

— Skończyliście, Kielbasa? — zapytał Polawski. No, to teraz wy, Krycha, co nam ciekawego opowiecie?

Krycha drgnął jakby się ocknął z jakichś ukrytych myśli. Popatrzył surowo na kierownika, zaciekłe wargi poruszyły się. Wydawało się, że chce powiedzieć coś ważkiego, a on tylko zapytał:

— Czy możemy iść, towarzyszu, bo tam na sali nas czekają?

— Więc nie powiecie?

— A bo co? Kielbasa wszystko powiedział.

— Tak... No, to zgoda. Idźcie już sobie.

Kiedy wyszli, pożegnawszy się z nami, długo patrzyliśmy jeden na drugiego, aż Polawski odezwał się:

— No co, widzieliście ananasa? A tamten drugi, to był prawdziwy rewolucjonista. Szkoda, że nie chce gadać. Zawsze z nim tak: zatanie się i nic. Z charakterem facet. Podobno ta Orłowska, co wtedy w więzieniu zginęła, to była jego narzeczona i razem w komórecie partyjnej pracowali. Taki to gips, jak się mówi...

LEON GOMOLICKI

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Trzymajcie się za ręce

Zapomniacie o nas o naszym pokoleniu życie jak ludzie zapomniacie o nas

my zazdrościliśmy roślinom i kamieniom zazdrościliśmy psom

chciałbym być szczurem mówiłem wtedy do niej chciałabym nie być

chciałabym zasnąć i obudzić się po wojnie mówiła z zamkniętymi oczami

zapomniacie o nas nie pytajcie o naszą młodzież zostawcie nas

trzymajcie się za ręce na których nie było ludzkiej krwi

Sierpień 1955 r.

WRAŻENIA Z WYSTAWY



Wszechław Horbaczewski

Rysunek tuszem

CZEGO oczekuje od wystawy nie tyle zawodowy znawca, ile „zwykły” miłośnik sztuki?

Myszę, że przede wszystkim pragnąłby on, aby oglądane obrazy odkrywały mu piękno świata, inność widzenia rzeczy, cieszyły czy wstrząsały swą treścią, zastanawiały i wzruszały kompozycją, uczyły głębszego spojrzenia na rzeczywistość, aby pomagały ją poznać i rozumieć. Dla niego ważny jest wyrażony przez twórcę w obrazie stosunek do życia. I wtedy — pod tym kątem widzenia — jest obojętne, o ile twórca zapożyczył się u innego twórcy, co powtarza, co jest u niego oryginalne. Tu miernikiem wartości jest rola, jaką spełnia obraz wobec odbiorcy. Naturalnie przeżyłby to nie określając wielkości twórcy, a dotyczą jedynie społecznej wartości obrazu.

Poza społecznym oddziaływaniem dzieła sztuki, gdzie fałszyfikat może równać się oryginałowi, dzieło sztuki może zawierać w sobie elementy, które są niepowtarzalne, albo takie, które w nieznany dotąd, niespotykany, nowy sposób ujmują treść malarską, łamią dotychczasowe pojęcia o przedstawianiu rzeczywistości, wywołują nowe środki wyrazu, wydobywając niewypowiedziane dotąd treści. To wytyczanie nowych szlaków rozwojowych jest udziałem niektórych tylko artystów i, oczywiście, wielkość artysty mierzy się tym właśnie, o ile pełnił sztukę naprzód. Ale społeczne oddziaływanie dzieła nie zawsze od tego zależy. Bywa, że wielkie dzieła są zrozumiałe od razu i niemal dla wszystkich, bywa — i to częściej — że nie. Stojąc przed dziełem, nie wystarczy nie tylko umiejętność prostego przekazywania jego treści przez artystę. Zależy to również w dużej mierze od stopnia przygotowania, wykształcenia plastycznego odbiorcy.

Ale nie przesadzajmy z tego powodu pod innym względem. I nie upraszczajmy zbyt łatwo sprawy. Nie odmawiamy ludziom, którzy nie są ze sztuką za pan brat, zdolności do artystycznego przeżycia. Nie twierdzimy, że trafna ocena sztuki może dać tylko człowiek obkuty w arkanach sztuki do najdrobniejszych szczegółów. Trzeba zawieść doświadczeniu człowieka, w którym szczerze uczucia stwarza wrażenie na piękno.

Nie jest, oczywiście, przypadkowe, że rozmyślania te nawiedziły mnie w związku z wystawą prac Wszechława Horbaczewskiego. Ta dwójka dotycząca pożyteczności dzieła i jego nowatorstwa, występuje w obrazach Horbaczewskiego z dużą wyrazistością.

W kilkudziesięciu płótnach, rzuconych w jednym niemal szeregu, uderza zwłaszcza w porównaniu z ilością eksponatów, różnorodność czynionych przez artystę prób. Próby te jednak pozostawione są jakiejś charakterystycznej cechy indywidualnej, jakiegoś piętna wspólnego pochodzenia. Może jest coś z tego w fakturze, w sposobie kładzenia farby, ale to przecież nie jest najważniejsze; w obrazach nie jest zawarty taki czynnik, który by — niezależnie od zupełnie krańcowych sposobów traktowania materii malarskiej, ujęcia i tematu — wyznaczał niechybnie osobowość artysty, jego wizję świata. Tu — od biedy — można by dwa różne obrazy przypisać dwóm różnym artystom. Nie było by to zresztą najgorsze. Tak się czasem zdarza i dziecinne było by stawianie z tego powodu zarzutów. Jednak ten brak pokrewieństwa między obrazami Horbaczewskiego nie wynika bynajmniej z radykalnego zrywania z dotychczasowym sposobem malowania, z przyjętej konwencji, z podjęcia nowych zupełnie zadań, znalezienia nowych dróg, ale z tego, że nie miało to osobistego wyrazu nawet w dziełach mieszczących się w ramach jednej tylko konwencji.

Z obrazów Horbaczewskiego trudno również wyczuć gorączkowość poszukiwań, mimo obfitości dokonanych prób. Próby te zdają się raczej wskazywać na doboranie do podjętych te-

matów malarskich znanych już od dawna, wypróbowanych środków.

Trudno też mówić o świadomej, dojrzałej postawie artysty, bo przeczą temu liczne przedsięwzięcia o krańcowych — z dużym co prawda ograniczeniem — założeniach. Krańcowość ta świadczy nie o rozpiętości poszukiwań, a o niezdecydowaniu. To dobrze, że artysta poszukuje. Jednak nie same eksperymenty, ale ich pasja, drapieżność, cel, żądza wydarcia z mroku nienazwanego i nadania mu kształtu — stanowią o dojrzałości artysty.

Z obrazów Horbaczewskiego nie da się uchwycić drogi rozwojowej artysty, nie znajdzie się odpowiedzi na to, co artysta odrzucił jako już nieprzydatne, a co przyswoił sobie na stałe i dlatego to uczynił. Nie wiadomo też, jaka rola przypadła temu czy innemu obrazowi w kształtowaniu się osobowości twórcy, w jakim wreszcie stosunku pozostaje do nich sam twórca dzisiaj.

Cóż bowiem mówi zestawienie takich obrazów, jak rozchwyane w ekspresji, niekonkretnie „Jałowce” i nie odpowiadające sile wyrazu wypadkom hiszpańskim z trzydziestego szóstego roku niemal pstrze malowidło „Guerillos” czy dotknięty niedowładem ruchu i ubóstwem koloru „Rok 1917”, który ani rusz nie chce się pomieścić w wyobrażeniach o najbardziej rewolucyjnych wydarzeniach w dziejach świata? Gdzie znaleźć klucz dla oznaczenia kierunku i jakości przeobrażeń dokonujących się w świadomości twórcy artysty, gdy wyblakłe, kanciaste, pozbawione dynamiki płótno „Kościuszkę i Waszyngton” porównuje się z wyżyłymi cech charakterystycznych pejzażami łódzкими, z niecelową deformacją w „Pikarzach II”, utrzymywanych podobnie, jak „Wyscig Pokoju” w gamie barw niespołonych, jaskrawych i surowych, a jednocześnie monotonicznych, bo bez kontrastowych efektów?

To nie tylko brak odpowiedniej informacji o czasie powstania utrudnia stworzenie sobie poglądu o procesie rozwojowym artysty. W daleko większym stopniu stoi temu na przeszkodzie okoliczność, że nie spotyka się w obrazach takich poczynań twórczych, które by zapowiadały rodzenie się nowego postawienia twórcy, utrwalając się i przewijając jako myśl przewodnia, jako najważniejszy przejaw osobistego widzenia otaczających zjawisk.

Najciekawsze na wystawie wydają się rysunki tuszem. Kreska niezawodnie celna, światłocien rozłożony oszczędnie, a przecież o nieoczekiwanych efektach, temat uchwycony niby na gorąco, a przemysłowy co do szczegółu. Ten rodzaj zapowiada u Horbaczewskiego duże możliwości. Takie prace, jak „Szczotno”, „Stare Miasto”, „Olśniny”, a również (w połączeniu z techniką akwarelową) „Stare Kiejkuty” i szereg innych, pozostają długo w pamięci.

W akwarelach Horbaczewskiego można też dopatrzeć się zalet. Co prawda większość z tych prac to obrazy o małej przejrzystości barwy, co znaczy ich klarowność, intensywność światła, zbyt nie zaś nasycenie koloru, a raczej zagęszczenie farby, daje nieraz wręcz wrażenie dekoracji teatralnej, jak np. w „Katedrze warszawskiej” czy „Oświecenie rybackie”. Jednak te niedostatki wynagradza w jakiś sposób dobry modelunek, spójność korelacji barwnych, niebanalna kompozycja w takich obrazach, jak „Nad Wieprzem”, „Stary młyn”. Jeszcze korzystniej odbijają od ogólnego poziomu akwarele: „Kozia Góra II”, szczególnie udana kompozycyjnie, choć nieco monotonna i surowa w barwie, czy śmiała w ujęciu i czystsza, soczystsza kolorystycznie „Robótka”, albo pomysłowa w układzie i opracowaniu akwarela „Koń w zagrodzie”.

Ponad przeciętność wybijają się na wystawie olejny portret pani W., zwiewy, ciekawy w barwie. Umiar i kunsztowność układu, żywość refleksu, wymowa skupionej twarzy, pełnej jednocześnie prostoty i bezpośredniości — wszystko to sprawia, że obraz przemawia niepowodzeniem pięknem. Cóż z tego, że widoczne są aż nadto wpływy mistrzów portretu, ba, więcej — nawet artystyczna koncepcja nie jest tu oryginalna. Obraz jest jednak owocem dużego trudu artystycznego i nie można odmówić mu zalet. W nim szczególnie przebiega się właśnie owo znaczenie dobrych dzieł sztuki, które nie są arcydziełami, rewelacją, ale są świadectwem kultury artystycznej. Ich istnienie stanowi również miernik tej kultury, ich liczebność — jej korzenie. Na nich spoczywa największe brzemie wychowania estetycznego mas.

Tę rolę spełnia również sztuka Horbaczewskiego. To nie jest sztuka wielkich porывów. Ale jest to dzieło rzetelnego rzemiosła i dużej czystości, uczciwości artystycznej. Nie wnosząc nowych wartości, służy przecież ona pobudzaniu i kształceniu w ludziach wrażliwości na piękno. Jest to ważny powód do szacunku dla artysty i uznania dla jego dzieł.

TADEUSZ MROZOWSKI

CZESŁAW ZAWADZKI

Propozycje i uwagi

W ciągu dotychczasowej działalności Filharmonii Łódzkiej różnie bywało z polityką programową. Dawny jej dyrygent, Bohdan Wodiczko, zamierzał „przejść” kolejno główne okresy muzyki: od Bacha poprzez klasycyzm aż do współczesności. Publiczność poznać miała muzykę symfoniczną w jej historycznym rozwoju, a jednocześnie dyrygent, zatrzymując się dłużej na okresie klasycznym, chciał dobrze postawić orkiestrę.

Istotnie Filharmonia Łódzka osiągnęła w tym zakresie pewną specjalizację. Spędziliśmy wiele miłych wieczorów na muzyce Haydna i Mozarta. Koncepcji swojej nie przeprowadził jednak Wodiczko do końca. Przeszkodziło temu jego odejście z Łodzi. Przypominamy o tym teraz, bo może by warto było powrócić do tego zamierzenia. W każdym bądź razie opowiadamy się za koncertami o małej rozpiętości pozycji, utrzymanymi w stylu epoki. Nie wydaje nam się jednak słuszne prowadzenie zbyt długich cykli koncertowych. Lepiej skrócić je na rzecz jednolitości koncertów. W bieżącym sezonie, na przykład, przypada 2-setna rocznica urodzin W. A. Mozarta (1756), być może że w związku z tą rocznicą programy będą przeładowane jego dziełami. Uważalibyśmy za celowe poprzestanie na 2 — 3 koncertach wyłącznie mozartowskich utworów. Każdy taki wieczór pozostawiłby sobie wrażenie jednolite i utrwalił w pewnym stopniu znajomość indywidualności twórczej kompozytora. Pamiętamy jak bardzo wzrasta powszechna znajomość twórczości Chopina w okresie urządzanych konkursów. Ale doświadczenie mówi i o tym, że niebawem następuje przesyt. Muzyka nie cierpi częstego powtarzania się, gdyż to ją deprecjonuje, pospolituje, obrydza. Stąd płynnie wniosek, że zapoznanie z twórczością mistrzów przeprowadzane powinno być intensywnie lecz nie przewlekłe. Należy wyznaczyć granicę między osłuchaniem a przesłuchaniem.

Zgodnie z wyłożoną wyżej „dialektyką” uważalibyśmy za słuszną ułożenie w ten sposób repertuaru, aby w ciągu sezonu dawał przekrój przez kolejne epoki muzyczne, ukazane poprzez swoich najwybitniejszych reprezentantów. Epoki lepiej znane — klasyczną i romantyczną — można odpowiednio skrócić na rzecz okresów nowszych i najnowszych. Nie tylko nie znamy muzyki współczesnej ale nawet nie mamy pojęcia co się dzieje w tej dziedzinie za granicą. Brak jest nam skali porównawczej do oceny własnego dorobku. Możliwość rozwoju dla naszych kompozytorów i krytyków w tej sytuacji są znikome. W naszych kołach muzycznych podnoszą się w tej sprawie coraz bardziej alarmujące głosy. Nieznane są w Polsce nawet niektóre wybitne utwory tak czołowych kompozytorów jak Prokofiew i Szostakowicz; prawie nie znamy najwybitniejszych współczesnych kompozytorów węgierskich Bartoka i Kodaly’ego. Twórczość naszego sąsiada z za morza Janacka również pozostaje dla nas obca. A cóż mówić o kompozytorach Zachodu? Głośno tam nazwiska Bouleza, Brittena, Coplanda, Nigga — są dla nas pustym dźwiękiem. Muzyków nurtuje coraz więcej myśl zorganizowania w Warszawie Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Współczesnej. Zanim to nastąpi, na barkach Filharmonii powinien spocząć trud odrobienia zaległości. Musimy poznać najwybitniejsze pozycje współczesnej muzyki zagranicznej. Możemy nie zgadzać się z dziełami obcych kompozytorów, ale musimy je znać. Dezyderaty te należałoby u-

względnić przy układaniu repertuaru Filharmonii Łódzkiej na najbliższą przyszłość. *) Nie może ona we własnym zakresie pokonać wszystkich trudności, które trzeba by rozwiązać w skali ogólnokrajowej. Ale dobrze było by, żebyśmy jeszcze w bieżącym sezonie mogli posłuchać z dawna znanych, o ustalonej już pozycji kompozytorów, takich jak Honneger, Milhaud, Strawinski. Kompozycje tych twórców dostatecznie są dziś rozpowszechnione, zdobyły więc tych wydawnictw nie powinno sprawić większych trudności. Jeśli istotnie niezadługo miał się odbyć w Warszawie festiwal muzyczny, musimy czym prędzej dokształcać się, żebyśmy nie razili swoją ignorancją.

Natomiast znajomość wybitniejszych osiągnięć w twórczości rodzimej jest całkowicie zadowalająca. Ostatni Festiwal Muzyki Polskiej zawierał znaczną większość pozycji naszej muzyki współczesnej. Być może nie podzielają naszego zdania kompozytorzy. Pisze- my jednak z innej pozycji — z pozycji odbiorców. Ci czują się zaspokojeni w tym względzie.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że Filharmonia Łódzka dająca jeden program tygodniowo nie jest w stanie zaspokoić naszych rosnących apetytów. Dlatego też wysuwamy projekt stworzenia drugiego równoległego programu o typie specjalnym. Miałby on charakter bardziej popularny i obejmowałby koncerty okolicznościowe, nadzwyczajne, eksperymentalne (np. w połączeniu z produkcjami recytatorskimi) wreszcie jakieś ciekawostki muzyczne. Przeniesłoby tam można było wszystko to co zostanie wyrzucone za burtę tradycyjnych koncertów piątkowych. Wszystko to, co przeszkadza w systematycznym poznawaniu muzyki symfonicznej.

Projekty programów specjalnych aż ciśnie się pod pióro. W jesieni obchodzimy 100-lecie rocznicy śmierci Mickiewicza. Jakaż to okazja do urządzania koncertu muzyki i poezji, wieczoru pieśni Mickiewicza, estradowego wystawienia „Widm” Moniuszki, które jak wiadomo, są muzyczną wersją „Dziadów”. Z Mickiewiczem wiąże się wspomnienie o Marii Szymanowskiej. Ta znakomita i głośna w ówczesnej Europie pianistka, była także kompozytorką. Jej twórczość muzyczna to przeważnie drobniutki fortepianowe, ale Szymanowska ma swoją pozycję w historii muzyki polskiej. Jest nawet w pewnym sensie prekursorką Chopina. Jej utwór orkiestralny na temat pieśni „Willa” (z Konrada Wallenroda) oczarował swego czasu Mikołaja Glinkę. Wygrzebanie z pyłków archiwalnych i odwołanie kompozycji tego pierwszego ambasadora polskiej muzyki byłoby dla nas wydarzeniem ciekawym i aktualnym.

W bieżącym roku obchodzono bardzo uroczyste w Helsinkach Festiwal poświęcony Sibeliusowi łączący się z 90-tą rocznicą urodzin największego kompozytora Finlandii. Ciekawa ta impreza o charakterze międzynarodowym powinna również znaleźć odbicie i w Filharmonii Łódzkiej w czasie najbliższym; wymaga tego aktualność wydarzenia i ogólne zainteresowanie światła muzycznego. Zwłaszcza, że Sibelius poza poematem „Finlandia” i popularnym walsem Triste — jest u nas nieznany. Wszystkie te luźno rzucone pro-

* Artykuł pisany był z początkiem września. W międzyczasie dowiedzieliśmy się z wiadomości z dyr. Głubickim, ogłoszonym w „Łódzkim Ekspresie”, że w bieżącym sezonie usłyszymy sporo muzyki współczesnej, a reprezentować ją będą tacy przedstawiciele, jak Strawinski i Britten. A więc naszym życzeniem stanie się zadość przynajmniej w części. Co z przyjemnością odnotowujemy.

Na bułgarskim rynku

Tu można dzieci uczyć kolorów
I takie barwy malarzom rozdać,
Jak żar południa i cień wieczoru,
Jak winne grono — bułgarska grozda.

Stałby na rynku nie jeden malarz
I długo oczy w zadumie mrużył
Patrząc jak cały rynek podpala
Czerwień papryki i szkarłat róży.

Jak nad łysiną melonów zwisa
Miedziano — złoty turban upału
I jak na ciężkich, cynowych misach
W stońcu rdzewieją ziarna migdałów.

Na śliwkach pył by na pewno dostrzegł,
Jak pod strunami ogranych skrzypiec,
I smukły cyprys — zielony oszepek,
Na którym chmurki zawieszają lipiec.

Szorstkie wachlarze ryżowych miotł
I na dwukółce wilgotny buklak.
Jak nozdrza osła, który pod płotem
Mieląc zębami sznur chce rozsuplać.

Zarzy się garnków gliniane pole,
Aż pył ceglasty pełźnie po piasku.
Sypią się iskry ze śliskich polew,
Jakby w nich kwitły sztylety blasku.

A kiedy zmierzchn już powiewem sinym
Zatrze na rynku kształt rzeczy każdej
Tylko kolczyki smukłej dziewczyny
Błyszcza z daleka jak pierwsze gwiazdy.

jekty kwalifikowałyby się do programu specjalnego.

W dalszym ciągu naszych filharmonicznych dezyderatów chcielibyśmy zwrócić uwagę na drukowane programy koncertowe. Jest rzeczą ogromnie ważną właściwie postawienie tej sprawy. Nie można pisać ich ad hoc i załatwiać się z omawianym utworem paru ogólnikowymi zdaniem lub zgola pustymi frazesami. Dział ten należy powierzyć na stałe dobremu i solidnemu fachowcowi, który by w sposób możliwie gruntowny i w formie przystępnej przeprowadził analizę wykonanych utworów, ze wskazaniem na poszczególne partie instrumentów, sola instrumentalne, podkład programowy dzieła — jeśli taki istnieje — itp. Analizie faktury utworu należy poświęcać stanowczo więcej miejsca niż danym historycznym, które zainteresowany może łatwiej uzupełnić na własną rękę w lekturze. O znaczeniu dydaktycznym drukowanych programów świadczą fakt, że wiele osób skrzętnie je zbiera. Te luźne programy są dla nich i podreżnikiem słuchania muzyki i historią muzyki zarem. A pamiętajmy, że na naszym rynku księgarskim odczuwamy dotkliwy brak nowoczesnej historii muzyki. Obserwując pracę z tego zakresu w naszej literaturze muzycznej — to podreżnik prof. Reissa napisany z górą trzydzieści lat temu.

W związku z tym jeszcze jedna uwaga natury praktycznej. Słuchacz otrzymuje program zazwyczaj na chwilę przed koncertem. Nie ma więc czasu na dokładne zapoznanie się z nim. Czytanie zaś podczas koncertu rozprasza uwagę. Należałoby więc zreformować ten zwyczaj. Programy muszą być udostępniane wcześniej, tak, żeby słuchacz przychodził na koncert już z pewnym przygotowaniem. Wtedy wyniki z koncertu najpełniejszą korzyść. Proponowalibyśmy w tym celu umożliwić nabywanie programów w kasie razem z biletami.

CZESŁAW ZAWADZKI

Niefortunny projekt

(Dokończenie ze str. 2)

lując ich w zacisznym „miasteczku uniwersyteckim”.

Ze spraw miasta i spraw setek tysięcy mieszkańców eliminuje sprawy związane z codziennym stykaniem się z tymi uczelniami. Jeżeli w pierwszej części niniejszego artykułu stwierdziliśmy, że jeszcze ciągle w społeczeństwie łódzkim nie istnieje żadna silniejsza więź z „własnymi” uczelniami — to koncepcja „miasteczka uniwersyteckiego” przekreśla możliwości powstania i zacieśnienia tej więzi. Kraków nie straciłby charakteru miasta akademickiego, gdyby nawet Uniwersytet Jagielloński przeniesiono daleko poza miasto, bo Kraków żyje głęboko sprawami Uniwersytetu, ale Łódź, która jeszcze w pełni nie żyje sprawami swoich wyższych uczelni, powinna być związana z nimi nie tylko formalnie, ale faktycznie — powinna być związana formą urbanistyczną.

Mimo, że projekty dzielnicy uniwersyteckiej istnieją już od kilku lat, istnieje konieczność ich rewizji, pod kątem ścisłego powiązania urbanistycznego uczelni z miastem. Powinny się tym zająć nie tylko miejskie władze urbanistyczne, ale również zainteresowane wyższe uczelnie.

LUDWIK STRASZEWICZ

Znasz-li ten kraj?



O d razu wyznaję, że pierwszy kwadrans lektury ostatniej książki Marii Jarochońskiej „Dziadowska miłość” (Państw. Instytut Wydawniczy, 1955) obryzwał mi rymujący dziad. Trudno, nie zawsze poezja... Zaczyna się ta Familiillenbuch nastrojem i szczegółami wilejskiej codzienności. „Włoszka, (jedna z bohaterów) wracała właśnie z podwórza. Dała jeść kurom, sza gotować obiad... wygrzebała z popiołu zmatowiałe już węgielki, roziskrzyła je własnym oddechem, nastawiła wodę w usmolonym rondlu... wpuściła z pluskiem do szafka pierwszy oskubany kartofel”. — Pogoda zwykłych gospodarskich zabiegów i trosk zostaje nagle zamocowana ludzkim dramatem. Oto okazuje się, iż mąż Włoszki pędzi żywot londyńskiego emigranta i właśnie przez swego adwokata wszczynają proces o rozwód.

Dziad-intruz odczytuje to pismo, ale do chałupy zaszedł w osobliwej misji: bojkotowania spółdzielni produkcyjnej. Mimo, że diablo denerwuje mnie to indywidualum, syjące jak z rękawa reakcyjnymi rymoidami, pocieszam się, iż jak na ekspozycję — to mamy już wiele groźnych powikłań. Wieg w Osieczanach powstaje spółdzielnia produkcyjna, dekonspiruje się enigmatyczny jeszcze, co prawda, wróg, pocziwim kobietom wytacza się rozwody na tle politycznych przekonań. Jednakże — z dużej chmury mały deszcz — przypomniało mi się to przystawie, kiedyś z rozczarowaniem odkładał książkę. Owe uczucie niedosytu spotęgowało ponownie odczytanie enuncjacji autorskiej: „W tej powieści opisuję rzeczy, które sama widziałam. Opisuję również zdarzenia, opowiadane mi przez innych ludzi”. Nie lubię tego rodzaju wyznań. Po prostu dlatego, że doszukuję się w nich swego szantazu czy zamachu na próbę jakiegokolwiek konfrontacji obiektywnej, względnie mojej własnej wiedzy o rzeczywistości z artystyczną relacją tejże, zawartą w dziele. Jest to chwyt służący do poręczania przekazywanej prawdy o człowieku i świecie.

Autorskie: „Widziałam” i „słyszałam”, ów literacki bezpiecznik realizmu, zowie się tu skrajnie zbierany autentykiem inkrustowanym — jak wynika z dalszych słów Jarochońskiej — w szerokie ramy powieściowej fikcji.

Osieczanka wieś położona jest gdzieś na odludziu, w powiecie gostowski. Stąd do Kutna wiedeńskie daleka droga, a Łódź, dla mieszkańców Osieczan, tkwi nieomal na krańcach świata, do której tylko jedzą do swej narzeczonej przedsiębiorcy Bronio Bratek. Osobliwa to wieś! Nieskaziona cywilizacją radia, kultura gazety, wieś, do której przybywają dziady i bardy — proroki o literackiej powrońce: z komedii rybakowskiej, czy klechdy Wójcickiej, gdzie na miedzach hasają, jak za dobrych pogańskich czasów Perkuń i Światowida, mściwe południe i okropne strzygonie. Jesteśmy nie na żarty zaniepokojeni, że w wymiarach rzeczywistości świata Osieczan rozmawia się całkiem na serio, nieczym w romantycznej balladzie, o duchach i przywideniach; w czas księżycowej nocy snują swoje uroczno-bałamutne opowieści o cudownych ziołach egzotyczna cyganka, a przysłuchuje się jej z ciekawością i najlepszą wiarą — stróż spółdzielni, Mrówczak (przestroga a propos czujności?). Myślę, że ten niekój jest zupełnie usprawiedliwiony. Jarochońska zabrnęła w jakieś poetyckie urojenie, niesprawdzalne — bo przecież nie sposób znaleźć w najodleglejszym zakamanku Polski prototypu takiej wsi. Autorka każe nam wierzyć w jakieś staroświecko-archaiczne formy życia obyczajowego wsi współczesnej. Jakże pogodzić epokę traktoru i nylonowej pochoczności z południem? Otóż ten popis erudycji folklorystycznej, to skomasowanie najrozmaitszych obrzędów i gusiel, zaklęć i zwyczajów, w których może kiedyś roznęła się kandydat do stopnia magistra etnografii, udułwiono rzeczywistość Osieczan, usuwając na słabo widoczny margines cały zespół spraw i wątków, które nieśmiało wydobywają prawdziwe oblicze życia i ludzi. Wyimaginowane zabobon zastąpił rozsądek, a ważne problemy rozplynęły się w niezliczonych, bardzo często zrzęcznie uchwyconych szczegółach i drobniactwach, odnoszących się do aktualnego czasu akcji.

Zaciążyło tu zapewne i odczytanie w folklorze, które okazało się silniejsze od widzianego i zasłyszanego, a nade wszystko jakiś kompleks wspominków, który stał się zabójczą metodą kompozycji. Mamy w powieści obfite zagęszczenie narracji. Autorka zdaje się odpowiadać gawędziarsko — plotkarską techniką relacjonowania faktów, która też święci triumfy nieokreślonego gadulstwa na przestrzeni całej powieści. W ten sposób chce się nas jakby przekonować, że powściągliwość języka bohaterów nie zawsze słusznie, zwłaszcza jeśli chodzi o sferę życia obyczajowego.

Czy właśnie stąd nie bierze się całkiem chybiona próba odświeżenia jakiegos cudownego widzenia rzeczywistości stosowana świadomie w epoce romantyzmu? Żywioł rozpanoszonego i wścibskiego gadulstwa, który wyłobit sobie odpowiedni styl gawędziarski o rozbudowanej frazie zdaniowej, o zagęszczeniu i powtarzającym się epitecie („Ciężkość zamknięta przez okienne zabite gwoździami wydawała się jeszcze czarniejsza, niż na dworze, smolista, ścisła”), o bogatych porównaniach, czerpanych z pobliskiego życia („...klnąc palcem jasnego pana to było tak, jak zedrzał święty obraz ze ściany i podeptał”) uderzał w znacznym stopniu dramatyzację fabuły.

Toteż pod koniec lektury miałem już w głos wykrzyknąć (za Kochanowskim i Wyspiańskim): „Wsi spokojna, wsi wesoła”, kiedy na 6 stronie od końca przeczytałem, iż nieznani sprawcy zabili spółdzielczą krowę. Wreszcie jakiś

Przeszłość ukazuje się z reguły w postaci licznych dygresji, które rozpalać wyobraźnię pisarza, wygrzają warty tok bieżących zdarzeń.

Poważnym niedociągnięciem jest prawie zupełny brak selekcji przedstawionych spraw pod kątem ich ważności. Wszystko jawi się nam al pari: i zajęcie Terlakowskiego z dziedzicem i reforma rolna i perypetie nieszczęśliwego Rumusia.

Podobnie postępuje Jarochońska ze swoimi bohaterami. Nikt się tu specjalnie (poza dydaktyczną do gadulstwa) niozmy nie wyróżnia, chociaż każda z postaci obdarzona jest bogatą (pod względem psychologicznym), subtelnie udokumentowaną biografią. Nie ma, co ciekawe, szczególnych zróżnicowań,

jeśli idzie o wyrobienie ideowe, nie wyłączając Tadeusza Florka, organizatora spółdzielni (Pomijam dwóch przyjezdnych członków Komitetu Miejskiego Partii).

Nie jest to wcale przypadkiem, gdyż w atmosferze Osieczan, którą Jarochońska stworzyła w powieści, brakło powietrza i miejsca dla posłaci nadzrodzonej, przerażającej sposobem myślenia, ideowości otoczenia. W tej sytuacji wiedza autorki o świecie równa się wiedzy jej bohaterów. Dlatego z całą konsekwencją korzysta z porteparole, wyręczając się opinią bohaterów nie zawsze słusznie, zwłaszcza jeśli chodzi o sferę życia obyczajowego.

Czy właśnie stąd nie bierze się całkiem chybiona próba odświeżenia jakiegos cudownego widzenia rzeczywistości stosowana świadomie w epoce romantyzmu?

Żywioł rozpanoszonego i wścibskiego gadulstwa, który wyłobit sobie odpowiedni styl gawędziarski o rozbudowanej frazie zdaniowej, o zagęszczeniu i powtarzającym się epitecie („Ciężkość zamknięta przez okienne zabite gwoździami wydawała się jeszcze czarniejsza, niż na dworze, smolista, ścisła”), o bogatych porównaniach, czerpanych z pobliskiego życia („...klnąc palcem jasnego pana to było tak, jak zedrzał święty obraz ze ściany i podeptał”) uderzał w znacznym stopniu dramatyzację fabuły.

Toteż pod koniec lektury miałem już w głos wykrzyknąć (za Kochanowskim i Wyspiańskim): „Wsi spokojna, wsi wesoła”, kiedy na 6 stronie od końca przeczytałem, iż nieznani sprawcy zabili spółdzielczą krowę. Wreszcie jakiś

konflikt? Ale Jarochońska zbyt późno zdecydowała się na unerwienie swej powieści konfliktem in actu — konfliktem, którym zamierza prawdopodobnie otworzyć perspektywę dalszej akcji planowanego cyklu „Na wsi”, — tak, iż nie jest on usprawiedliwieniem nadmiernie rozbudowanej kompozycji „Dziadowskiej miłości”.

Przez chwilę wydaje się, że Jarochońska cel rzeczywiście osiągnie, Tymczasem... tymczasem ukazała nam wrogów spółdzielni w postaci baby skupującej ciuchy i dwóch dziadów... Zdumiewam się nad wyobraźnią, ale absolutnie nie wierzę w instynkt wywiadowczy Jarochońskiej, który galerii negatywnych bohaterów przysporzył jeszcze jeden kapitałny okaz: wędrownego dziada. Czy to jakieś rozbieżności? Bardziej możliwe. Wobec tego, moi drodzy, pamiętajcie: już nie tylko podstępny kulak torpeduje akcję zakładania spółdzielni, z równym powodzeniem czyni to dziad-wagabunda. Jeśli ten eksperyment ma podkładkę w rzeczywistości, to trzeba o rychło wprowadzić dziada do polskich filmów o wsi.

Z rozczarowaniem zamykałem tę książkę, która, do diabła, została wyróżniona — no cóż, ile głów, tyle zdań. Chyba to zdrowsze, niż wypisywanie laurek.

P. S. Nie wiem, czy nie będzie to jakaś mutacja zamówienia społecznego, jeżeli powiem, że od następnych tomów cyklu oczekuję:

1. uwolnienia Osieczan z przynębiającej atmosfery plotki i guseł;
2. uporządkowania losu bohaterów z wyeksponowaniem dziejów rodziny Florków, Terlakowskich i Włoszki.

STANISŁAW KASZYŃSKI

EDWARD SZUSTER

„TAKIE CZASY” PO DWÓCH LATACH



„Takie czasy” J. Jurandota w Teatrze im. Jaracza. Reż. Cz. Staszewski, scenografia M. Wiśniewski. A. Żukowski w roli dyr. Zielińskiego.

K OMEDEJ Jurandota widziałem po raz pierwszy w styczniu czy lutym 1954 roku w wykonaniu zespołu teatru gnieźnieńskiego. Wówczas, w okresie niewygastłych jeszcze polemik i starć ze schematyzmem w naszej literaturze, ta komediowa relacja o perypetiach „wyjeżdżającego w teren” pisarza miała dla mnie urok świeżości; przygody „zbierającego materiał” do sztuki produkcyjnej Juliana Stępnia, podane w dowcipnej i — czasem — błyskotliwej formie, jakoś bardzo jeszcze bezpośrednio korespondowały z tym wszystkim co mówiono i pisano o niektórych nawiązkach wielu autorów. Z przyjemnością śledziłem później powodzenie jakim cieszyły się „Takie czasy” na wielu scenach polskich; miło mi było stwierdzić, że i w Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej sztuka zyskała sobie uznanie. Przebieg II Zjazdu Pisarzy Radzieckich upewnił mnie, że Jurandot dotknął swą komedią istotnego — nie tylko dla naszej literatury — zagadnienia ułatwionego, nieodpowiedzialnego przedstawiania rzeczywistości przez artystę.

Teatr im. Jaracza pokazał „Takie czasy” już wówczas, gdy gorąca dyskusja nad „Odwilżą” Erenburga i plenum ZLP poświęcone sytuacji w krytyce, ujawniły wyraźnie, że płytkie, radosno-twórcze i schematyczne widzenie rzeczywistości nie jest już za sadniczym problemem w naszej polityce kulturalnej. Literat „studiujący” w ciągu dwóch — trzech dni nieznane sobie środowisko, został dokładnie i wielokrotnie omówiony podczas tych kilkunastu miesięcy jakie minęły od chwili prapremiery „Takich czasów” do łódzkiej premiery tej sztuki. Wybrałem się więc na przedstawienie nie bez obaw, że zobaczę coś, co już z lekka myszką trąci.

Rzeczywiście, wiele w tej komedii zgola nie nowych rzeczy. Jest tam, znana od lat, drobniomieszczańska „pani dyrektorka” różniąca się od wielu swych scenicznych babek i prababek tylko tym, że przyswoiła sobie o celniejszych frazysach naszych czasów. Jest wiekowy już także na scenie „stary buchalter”, jest nieco młodszy w tradycji teatralnej ale też znany „stary robotnik — racjonalizator” jest „zażdźniowy zetempowicz” i „pozytywna sekretarka”. Jest wreszcie pisarz współczesny — zachwycony sobą i swymi koncepcjami snob, postać także z nie-matym rodowodem scenicznym. Stowiem, komedia opiera się na wypróbowanych już wielokrotnie sylwetkach. A przecież widowiska przyjmuje ją żywo. Jest bowiem w „Takich czasach” coś, co mimo wyraźnej już dziś mgiełki przesłaniającej ostrzelany problem schematyzmu, zapewnia sztuce możliwość przetrwania tego etapu polemik literackich, który ją zrodził. Jest tam niegłęboka ale interesująca, nieco jednostronnie potraktowana ale prawdziwa postać sceniczna. Myślę, że nie-co mimowiednie — bo chyba literat Stępień bardziej go interesował — osiągnął Jurandot w roli Zielińskiego trwałszy sukces sceniczny. Udało się tu autorowi stworzyć postać przeciętnego człowieka, który mimo wahań i rozterek potrafi odnieść zwycięstwo nad swymi słabościami i, nie wstępując bynajmniej na koturny, staje się w naszych oczach lepszy. W losach scenicznych dyrektora Zielińskiego zawarta jest istotna, typowa cecha wielu współczesnych nam biografii, biografii ludzi zdobywających poczucie odpowiedzialności za to, co dzieje się w ich warsztacie pracy i w ich otoczeniu. Konflikt Zielińskiego polegający na pokonaniu pierwotnych, sobkowskich w gruncie rzeczy pragnień, ma w sobie coś z komedii większego formatu, ma szlachetną powagę. Mimo bowiem lekkości i dowcipu tekstu Jurandota historia Zielińskiego to rzecz nie błaża, bo nie jest rzeczą błażą dorastanie człowieka do roli działacza — gospodarza...

Interpretacja tej roli na pewno nie była rzeczą prostą; świadczy o tym choćby to, że Antoni Żukowski rozwijał ją i pogłębiał już po premierze. Na pierwszym z widzianych przeze mnie przedstawień Zieliński był w interpretacji Żukowskiego, dobrze znanym nam z wielu komedii a nawet fars, śmiesznym dyrektorem z jakiejś Pipi-dówki; usilne, natarczywe czasem wygrywanie zewnętrznych szczegółów mających — jak sądzę — podkreślić „komediowość” roli, zacierało jej istotę i wymowę. Na dalszych spektaklach — nie wiem, czy z inicjatywą reżysera czy też własnej — Żukowski stosował wyraźnie owe „gierki”. Będąc prawdziwie zabawnym w swych kłopotach potrafił stać się jednocześnie głębszym, prostszym, czasem — wzruszającym. Evolucja tej roli wydaje mi się być interesującym przykładem zrywającej z ograniczonymi szablonami, twórczej pracy aktora, który zdołał wzbogacić przedstawienie wnosząc w nie wiarygodną i ciepłą postać — użyjmy tego określenia — bohatera pozytywnego. Sukces tym trudniejszy, że pionierski prawie; niewiele bowiem wzorów mogło tu aktorowi pomóc.

Nie poszukał głębszych, trwałszych tonów swej roli Olgierd Jacewicz opracowując postać Juliana Skupienia, przytomniejszego podczas trwania ak-

cji scenicznej literata-schematysty. Postać Skupienia istotnie skupia wokół siebie — w sytuacjach i dialogach — wszystkie dowcipne, trafne i cięte uwagi jakimi Jurandot obdarzył metodę i praktykę tego rodzaju „niefrasobliwych” twórców. Używam tu cudzysłowu ponieważ — zgodnie z rozwojem akcji i, co ważniejsze, zgodnie z rzeczywistością — niefrasobliwość schematysty nie jest przyrodzoną mu cechą charakteru. W swej „terenowej” wyprawie Skupień przeżywa wcale niełatwą konfrontację własnych wyobrażeń o życiu z rzeczywistością i — w tekście sztuki — dochodzi do wniosku, że jego wiedza o sprawach ludzkich jest mało co warta. To nie są sprawy proste i łatwe; doświadczenie, szczególnie dziś, pokazuje nam jak boleśnie i głęboko przechodzi proces ostrażenia się twórcy z uproszczonych poglądów na życie prowadząc czasem z jednej skrajności w drugą. Oczywiście w roli Stępnia nie ma miejsca na pełniejsze ukazanie tych wewnętrznych rozterek, jest tam jednak dość materiału na zbudowanie głębszej, pełniejszej postaci niż to uczynił Jacewicz. W interpretacji tego aktora Stępień to przede wszystkim zadufek; konsekwentne wygrzywanie tej nuty nie pozwala wierzyć w to, że Stępień rozumiał cokolwiek, aktor staje tu w sprzeczności z intencją autora. Drugi bohater pozytywny sztuki, druga pełniejsza postać tej komedii — wszystkie pozostałe rysowane są jedną kreślą — pozostaje, niestety, schematycznie poruszającą się figurynką. Mankament tym wyraźniejszy, że wśród epizodycznych t. zn. — nie mających pełniejszej biografii scenicznej postaci, są role tak pełnokrwiste jak Olgi Bielskiej, Włodzimierza Kwaskowskiego czy Włodzimierza Skoczylasa.

Po tym co powiedziałem na wstępie można by, na upartego, sądzić, że może to i dobrze, iż zwietrzały już problem pisarza-schematysty nie znalazł w łódzkiej inscenizacji pełniejszego odbicia. Ale przecież nie chodzi o anegdotę związaną z tym czy innym stadium takich czy innych dyskusji. Chodzi o prawdę ludzkich przeżyć i ludzkich trosk, a komedia Jurandota daje wcale niezłą okazję do ukazania tej prawdy. Stałaby się wówczas bardziej pogłębiona, wywołaby do zastanowienia nie tracąc nic ze swego niewątpliwego komizmu i dowcipu.

EDWARD SZUSTER



Rys. W. Pławiński

W. Kwaskowski w roli majstra Petyrki, w sztuce Jurandota „Takie czasy”

Nowości wydawnicze

Anna Kowalska — „Opowieści wrocławskie” — Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa r. 1955.

Książka składa się z wydanych dawniej powieści „Uliczka klasztorna” i „Wielka próba”, oraz z drukowanych po raz pierwszy „Notatek wrocławskich”.

W słowie wstępnym, skierowanym do czytelnika, autorka pisze m.in.: „Ze zbioru nielicznego najbliższe mi są dziś „Notatki wrocławskie” i pragnęłabym dla nich pozyskać żywiołowe uważne czytelnika”. Chciałabym zapewnić autorkę, że jej się to całkowicie udało. „Notatki wrocławskie” wyszły spod pióra pisarza w pełni dojrzałego, który potrafił w krótkich szkicach zawrzeć bogate refleksje i doświadczenia. Wiele jest w nich prawdziwej mądrości, dowcipu, słowem tego, co jest nieodłącznym składnikiem dobrej, intelektualnie podbudowanej prozy artystycznej.

Władysław Rymkiewicz — „Rycerze i ciury” — MON, Warszawa r. 1955.

Poczytna powieść Rymkiewicza ukazująca się właśnie w nowym, masowym wydaniu (nakład 100 000 egzemplarzy), staje się znowu dostępną dla czytelnika. Autor „Ziemi zwolonej” — powieści o Żulawach, śledzący w „Rycerzach i ciurach” po temat historyczny z okresu najazdu szwedzkiego na Polskę. Książkę czyta się z dużym zainteresowaniem.

Aleksander Suchowo-Kobylin „Trylogia” („Małżeństwo Kreczyńskiego”, „Sprawa”, „Śmierć Taretkina”), PIW 1955, przełożył Bohdan Korzeniowski, wstępem poprzedził Leon Gomolicki.

Nareszcie ukazał się polski przekład (zresztą świetny — zasługa B. Korzeniowskiego) trzech komedii A. Suchowo-Kobylina, powiązanych ze sobą w trylogię poprzez opowieść o sprawach kilku tych samych bohaterów.

O A. Suchowo-Kobylinie dotąd nie wiadomo u nas prawie nic. Nieliczni tylko oglądali w Warszawie „Śmierć Taretkina” (1949 r.), nieliczni pamiętają wrocławskie przedstawienie „Małżeństwa Kreczyńskiego” (już w latach 50-tych), lub sfilmowany radziecki spektakl tej sztuki (wedrował on przed rokiem po naszych ekranach). A szkoda. A. Suchowo-Kobylin to jeden z największych komediopisarzy rosyjskich. Nie napisał wiele „Trylogia” to wszystko, co wyszło spod jego pióra. Ale „Małżeństwo Kreczyńskiego” i „Śmierć Taretkina” stają obok gogolowskiego „Rewizora”.

Wydanie „Trylogii” poprzedzono przedmową prof. Leona Gomolickiego. To bardzo dobrze. Czy jednak trzytysięczny nakład — a w takim ją wydano — jest w całej pełni wystarczający. W tym wypadku łatwo powtórzyć się może historia z „Trzema dramata” Brechta, które również nie przekroczyły trzytysięcznego limitu, a za które na czarnym rynku płacono nie tak dawno potrojną czy nawet poczwórną cenę.

Fiodor Dostojewski „Zbrodnia i kara”, PIW, 1955, przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, s. 552.

Pierwszy Dostojewski po wielu latach. Był to pisarz po wojnie nie wydawany. Dokładnie jego nazwiska panowało głuche, wstydlive milczenie. Smutne czasy czekały dzieła wielkiego realisty. Nie znaczy to, że ich nie czytano. A jakże, czytano. Ale w domu, ale ukrytym. Szukano jego książek po antykwariatach. „Zbrodnia i kara” ukazała się teraz w dwudziestotysięcznym nakładzie. Po tygodniu powieści tej nie można już było dostać w księgarniach. Ten, co jej szukał: szyszał: — już nie mamy, wykupione. Potrzebny jest nowy nakład? Potrzebny. Ba, niezbędny.

Na jednej z pierwszych kart „Zbrodni i kary” czytamy: Z pism F. M. Dostojewskiego. A więc w ślad za tą powieścią pójdą inne. Konspiracyjna zмова milczenia dobiegła kresu. Trudno z tego względu nie wyrazić Wydawnictwu wdzięczności, a osobnie P. Hertzwili.

Dymitr Mamin-Sybirak „Złoto”, PIW, 1955, tłumaczenie Kazimierza Wroczyńskiego, wstępem poprzedził Leon Gomolicki, s. 337.

Dymitr Mamin Sybirak urodził się na Uralu w 1852 roku. Debiutował — mając 30 lat — w 1882 r. — opowiadaniem zamieszczonym w „Wiestniku Jewropy”. „Złoto” powstało w dziesięć lat później — a więc w roku 1892. Zresztą o tym wszystkim znacznie dokładniej i znacznie lepiej poinformuje wstęp pióra L. Gomolickiego.

„Złoto” jest bodajże jedną z najlepszych powieści tego prozaika, który — rzecz to nagminna, zmuszająca do powtarzania tych samych słów — u nas, poza kręgami specjalistów, nie był dotąd znany. Niemniej ci, którzy nie słyszeli dotychczas o nim i podejrzewają, że był to pisarz niesprawnie wladający piórem, po prostu nieudolny, przynajmniej się rozczarują. Szczególnie zalecałbym tę powieść miłośnikom Emila Zoli.

Mikołaj Niekrasow. „Utwory wybrane”. Tłumaczenie zbiorowe. Wstępem poprzedził Samuel Fiszman. T. I, s. 408, t. II, s. 300.

Dwa tomy „Utworów wybranych” Mikołaja Niekrasowa są pozycją nie pozabawioną atrakcyjności dla zainteresowanych historią rosyjskiej literatury XIX wieku, a nawet może dla zainteresowanych poezją. Zawierają one nie tylko fragmenty wcześniej już opublikowanego w osobnym tomie poematu „Komu się na Rusi dobrze dzieje”, ale i urywki „Księżnej Trubeckiej” oraz liryki w bardzo bogatym wyborze. Przekłady są dziełem wielu tłumaczy i to tłumaczy z różnych epok. Od Syrokomli i B. Szwarcera, aż po J. Tuwima, A. Rymkiewicza, Z. Bieńkowskiego, Wł. Słobodnika, A. Wata, L. Lewina... I tak nie zdolam wymienić wszystkich. „Utwory wybrane” poprzedza sumienny i bardzo ciekawy wstęp, a właściwie studium S. Fiszmana.

SZTUKI POLSKIE NA SCENACH CZESKICH



Autorka artykułu, dr Mojmir Janiszowa, jest kierownikiem literackim teatrów dramatycznych w Pradze. Zna świetnie język polski, w latach 1948-49 studiowała w PWST w Łodzi i ukończyła Wydział Dramatyczny. Przełożyła na język czeski „Takie czasy” Jurandota, „Pociąg do Marsylii” Gruszczyńskiego, „Panna Malczewska” Zapolskiej oraz Fredry „Słuby panienskie” i „Męża i żonę” (współ z O. Ornestem) i wiele innych. Obecnie przebywa w Polsce na zaproszenie Ministerstwa Kultury i Sztuki.

POLSKIE sztuki sceniczne mają na scenach czeskich długą i piękną tradycję, sięgającą ubiegłego stulecia. Pierwszym polskim przedstawieniem w Czechach była jednoaktówka Fredry „Nikt mnie nie zna”, którą wystawił teatr w małym miasteczku Chrudim, w tłumaczeniu znanego polonofila F. L. Riegera; w 1863 roku ta sama sztuka pojawiła się na scenie praskiego teatru „Prozatimni Divadlo”. Krótko potem ten sam teatr wystawił „Damy i Huzary”, „Pana Geldhaba”, zaś w 1869 roku „Słuby panienskie”, w tłumaczeniu prozą. Ta ostatnia sztuka wzbudziła największe zainteresowanie czeskiej publiczności. W dwa lata później wystawiono „Zemstę”, nie odniosła ona jednak zbyt wielkiego sukcesu, jako sztuka zbyt specyficznie polska.

Obok sztuk Fredry zapoznaje się czeska publiczność ze sztukami Bałuckiego „Sąsiedzi”, „Krewni” i „Grube ryby” i z „Mazepą” Słowackiego. Znajomość teatru zawiązuje się z naszym wybitnym pisarzem: L. Stroupeckiemu i J. Kwapiłowi, którzy byli wówczas kierownikami literackimi praskich scen.

Spór o reportaż

(Dokończenie ze str. 1)

rzeczywistości, inne te rzeczywistości uszeregowanie. Ale czy but, choć nowy ma kształt, przestaje być skórą? Jeśli twierdzimy, że reportaż jest gatunkiem literackim, że przynależy do twórczości artystycznej, to nie możemy mu odebrać prawa do fikcji. Lichy to reportażyna który poza zestawieniem faktów, nie nie potrafi powiedzieć o nauce, która z nich płynie, o prawdzie, której one dowodzą lub przeczą.

Ponieważ w tej części artykułu opieram się w dużej mierze na materiale obcym, niech mi wolno będzie zacytować Maksyma Gorkiego, który uważał, iż „reportaż literacki przestaje być dziełem sztuki, jeśli pozbawiony jest artystycznych uogólnień, wyprany z fikcji literackich”.

W takim reportażu mogą być zmyślane nazwiska bohaterów, zmyślane nazwy miejscowości, jedno musi być prawdziwe: — prawdziwy musi być problem, któremu poświęcamy nasz talent i nasze pióro. To wcale nie jest ważne, czy nasz bohater jest w rzeczywistości lisy czy też ma bujną czuprynę. Natomiast ważne jest, co on myśli, jaka jest jego świadomość, udział w pomnażaniu bogactwa kraju. Na to musi skierować reporter swój celownik, swoją kamerę — chodzi bowiem o wydobycie spraw, płynących nurtem głębszym, pod powierzchnią faktów, suchych liczb i ponętnych czy nieponętnych szczegółów.

Pora powiedzieć parę słów o formie reportażu. Dobra forma to — dobry i piękny język, dowcip, napięcie, bezpretensjonalność, która w swej istocie zdolna jest przemienić biernego czytelnika w aktywnego współuczestnika opisywanych zdarzeń. Dlatego dobrze pisać znaczy: przykuwać uwagę czytelnika, uczyć go, dostarczać mu rozrywki, budzić śmiech, ironię, ale wywoływać także gniew i nienawiść. Reportaż nie może mieć „puszczoności”, byle jakiej kompozycji. Winno się w pracy nad nim wyszukać zdobyte konstrukcje nowellistyczne, gdyż narracja stanowi najlepszy „kostium” formalny reportażu.

Reportaż wymaga dobrej roboty literackiej, bo reportaż — to literatura. Jeśli reportaż ma służyć jedynie doraźnej chwili, jak chce tego cytowana na początku autorka listu, to wystarczy do pisania inspirować terenowi, po co literaci i dziennikarze.

W późniejszym okresie grano w teatrach czeskich Wyspiańskiego, Kisielowskiego, Nałkowską, Nowaczyńskiego, Rydla, Perzyskiego, Przybyszewskiego, Rittnera, Slonimskiego, Zapolską. Zapolska zdobyła polskiej dramaturgii największą popularność, dzięki „Moralności Pani Dulskiej”. Sztuka ta była wystawiana wielokrotnie w różnych teatrach Czechosłowacji; popularność jej utrzymuje się do dnia dzisiejszego. Najwybitniejszą otwórczynią pani Dulskiej, a równocześnie największą aktorką komediową Czechosłowacji, Marię Huebnerową, poznała również polska publiczność w czasie jej występów gościnnych w Warszawie w r. 1928.

Wojna przerwała, rzecz prosta, wszelkie stosunki kulturalne między naszymi krajami, a więc i kontakty w dziedzinie teatru.

W okresie powojennym stosunki między naszymi narodami, a więc i wymiana kulturalna, kształtowała się zaczęły na zupełnie innych podstawach. Sztuki polskie, w których odbijają się problemy żywotne i równie interesujące oba społeczeństwa — polskie i czeskie — wzbudzały duże zaciekawienie zarówno ludzi czeskiego teatru, jak i czeskiej publiczności. Oczywiście w pierwszych latach powojennych interesowały nas przed wszystkim sztuki o problematyce wojennej, takie jak „Odwet” Kruczkowskiego czy „Strzały na ulicy Długiej” Swirszczewskiej. Z klasycznych sztuk grano znów „Moralność pani Dulskiej” oraz fredrowskie „Damy i Huzary” i „Pana Jowialskiego”.

W roku 1949 ukończyłam studia dramatyczne w Łódzkiej Szkole Teatralnej, pod kierownictwem Leona Schillera. Od chwili powrotu do kraju i objęcia kierownictwa literackiego Miejskich Teatrów w Pradze, starałam się zapoznać ze sceną naszego teatru publicznego z najpoważniejszymi utworami polskiej współczesnej dramaturgii i najwybitniejszymi dziełami klasycznymi. Plan ten udało mi się konsekwentnie zrealizować, dzięki pomocy i zainteresowaniu ze strony dyrekcji teatrów i kolektywów artystycznych. Sztuki, których premiery odbyły się w teatrach praskich, ukazywały się następnie na innych scenach czeskich, zawodowych i amatorskich. Szczególne zainteresowanie wśród naszej publiczności wzbudziła sztuka Kruczkowskiego „Niemy” w tłumaczeniu wybitnej tłumaczki Heleny Teigowej. Sztuka ta stała się wielkim wydarzeniem w naszym życiu teatralnym, zarówno dzięki swym

walorom artystycznym, jak i dzięki swej tematyce.

Następnie grano równocześnie w dwu teatrach praskich: „Kameralnym” i teatrze E. F. Burlana, dwie polskie sztuki antyimperialistyczne: „Zwykła sprawa” Adama Tarna i „Pociąg do Marsylii” Gruszczyńskiego.

Duże zainteresowanie wśród ludzi teatru wzbudziła twórczość młodego pisarza polskiego, Jerzego Lutowskiego, poczynając już od pierwszej jego sztuki „Próba sił”. Sztukę tę poznaliśmy w okresie, gdy na scenach naszych nie było utworów, poruszających sprawy inteligencji. Liczne teatry w Czechosłowacji grały i grają wciąż jeszcze następną sztukę Lutowskiego „Sprawa rodzinna”; w nadchodzącym sezonie zamierzamy wystawić „Ostry dyżur” tegoż autora. Spośród najnowszych sztuk polskich chcemy wystawić „Matuzyszów” Skowrońskiego.

Dla rozwoju naszego teatru, a zwłaszcza twórczości satyrycznej, wielkie znaczenie miała sztuka Jurandota „Takie czasy”, która była pierwszą satyryczną komedią współczesną w teatrach czeskich. Do tej pory bowiem teatry nasze wystawiały wyłącznie programy satyryczne składane, Czeska publiczność polubiła polską twórczość satyryczną i oczekuje z zainteresowaniem zapowiedzianej wizyty warszawskiej „Syreny”. Mamy nadzieję, że wizyta ta będzie bardzo pożyteczna dla naszej młodej twórczości satyrycznej, dotąd mało związanej z teatrem.

Jeżeli chodzi o polskie utwory klasyczne, to w ostatnim okresie wystawiliśmy — po raz pierwszy na scenach czeskich — „Męża i żonę” w Teatrze Komedi i „Słuby panienskie” — tym razem w tłumaczeniu poetyckim. W najbliższym sezonie grać będziemy „Pannę Malczewską” Zapolskiej i „Mazepę” Słowackiego, „Lekkiomyślną siostrę” Perzyskiego i „Karykatury” Kisielowskiego, z twórczości Fredry zaś jego „Imieniny Pana Dyrektora” Słowackiego i Skowrońskiego i „Ruchome piaski” Chojnowskiego.

Już z tych wiadomości zorientować się można, że zainteresowanie czeskiego teatru polską dramaturgią jest żywe i wszechstronne. Mamy nadzieję, że w przyszłości wzrośnie także zainteresowanie polskich teatrów czeską twórczością dramatyczną. Podstawą do przypuszczenia, że twórczość ta podobałaby się i byłaby bliska widzom polskim, jest chociażby wielki sukces, jaki odniosły w Polsce „Igraszki z diabłem” Jana Drdy w inscenizacji Leona Schillera.

MOJMIRA JANISZOWA

A jaka jest praktyka?

Trzeba z miejsca odróżnić dwa rodzaje reportażu: takie, które drukują pisma literackie, i takie, które ukazują się w dziennikach. Przy czym pierwszy jest bardzo mało, drugich więcej, ale za to te drugie przypominają częściej reportaża jedynie z nazwy. Wiedza nasza o reportażu jest uboga. Nie mamy w Polsce wydawnictw, które by próbowały pozbierać i uporządkować to, co się przysgodnie tu i ówdzie w tym zakresie napisało. Nie mamy antologii reportażu, która stanowiłaby pouczający materiał dla młodych pisarzy. (Kisch wydał kiedyś taką antologię pt „Klassischer Journalismus”). O reportażu pisze się u nas mało, od czasu do czasu zabierają głos Kazimierz Koźniewski i Jerzy Lowell. I to, zdaje się, wszystko. To, co o reportażu napisał lub pisał miesieźnik „Prasa Polska” jest, niestety, zadowalające i powierzchowne. Przez reportaż rozumie się najczęściej zewnętrzny opis jakiegoś wydarzenia, pracy, bohatera. Reportaż w dzienniku stał się wprawdzie gatunkiem bardzo pożądanym, ale nie stał się gatunkiem — ambitnym. Reportaż drukowane w prasie codziennej są naiwniejsze (oczywiście nie wszystkie i nie wszędzie, bywają wyjątki), płytkie, o dydaktycznej syntezy grubymi nićmi. Forma ich (a więc język, styl, kompozycja, układ, punkt) właściwie nie istnieje. Są to zazwyczaj chronologicznie ułożone sprawozdania, bez próby ciekawego i głębokiego ujęcia problemów i konfliktów właśnie od strony formy. Można w wielu wypadkach rozpoznać kilka sztamowych chwytów, którymi się operuje. Do najbardziej zużytych należy schemat „wczoraj — dziś” (jak to dawniej było i jak to dzisiaj jest dobrze). Reportażysty nie przejawiają żadnej wynalazczości i odkrywczości w tej dziedzinie, czytelników zaś uważają za ludzi niedolnych do myślenia.

Jeśli powiedziałem powyżej, że lepiej jest z reportażem w pismach literackich, to nie znaczy — że jest dobre. A niedobre dzieje się dlatego, że reportaż ukazuje się coraz mniej. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że obserwuje się coś w rodzaju ucieczki od tej formy pisarskiej. W tej chwili możemy jedynie przeczytać od czasu do czasu reportaż Stefana Kozińskiego i Jerzego Lowella (ten ostatni, zdaje się, dość uporczywie nad nim pracuje).

Rzadko zabierają głos Roman Bratny i Marian Brandys. Zamilki zupełnie znakomity w swoim czasie reportażysta Franciszek Gil. Z pism tygodniowych systematycznie kultywuje reportaż „Świat”, ze zmiennym, rzecz jasna, powodzeniem. Właściwie odczuwa się brak tzw. wielkiego reportażu, mam tutaj na myśli utwory typu „Na zagrożonym odcinku” Wandy Karczewskiej, w którym autorka dotknęła generalnie i z dużym impetem problemu akcji pionierskiej w likwidowaniu odłogów.

A skoro odczuwa się brak takich prac, to znaczy, że istnieje na nie ogromne zapotrzebowanie społeczne. I nie w tym dziwnego. Reportaż jest najbardziej powołany do towarzyszenia epokom przełomu. A w naszej epoce dokonują się przełomy nie lada: kraje zmieniają swe oblicza, społeczeństwa formują się od podstaw, człowiek dąży do całkowitego podporządkowania sobie sił przyrody. Polska jest krajem przełomu, bo dokonuje się u nas wielka robota nad zasadniczym jego przeobrażeniem. Zapoznając się niedawno z planem pięcioletnim jednego tylko województwa — łódzkiego. I gdy sobie postawił pytanie, w jaki sposób przyjdzie dać temu wyraz w literaturze, znalazłem jedną odpowiedź: reportaż. Tylko reportaż, wielki reportaż literacki, jest w stanie dać świadectwo ogromnego trudu człowieka w epoce socjalizmu, jego patriotyzmu i poświęcenia, ofiarności i rozumu. By się do tego należało uzbroić, trzeba nam przedyskutować wszechstronnie zadania, możliwości i formy reportażu.

Wnioski

W związku z tym wydaje mi się konieczne poddać pod rozagę pisarzem, dziennikarzem, teoretykiem i praktykiem literatury kilka konkretnych wniosków. Po pierwsze: należy wydać antologię najlepszych reportażów polskich i obcych; po drugie: zebrać i opublikować w książce rozrzucone po czasopiśmie na przestrzeni lat wypowiedzi, dotyczące teorii reportażu; po trzecie: rozpocząć szeroką dyskusję w pismach literackich i codziennych, i po czwarte: wziąć problem reportażu na warsztat sekcji twórczych w Związku Literatów i Stowarzyszeniu Dziennikarzy.

Jestem pewien, że materiał w ten sposób uzyskany da odpowiedź na wiele dręczących nas pytań i wątpliwości.

JAN KOPROWSKI

Proszę o głos!

Faceci z operetki

RZECZ dzieje się na stacji Łódź-Fabryczna. Konduktor pociągu przybyłego przed chwilą z Kolu-szek przyprowadza do dyżurnego ruchu pasażera: „Ten obywatel miał bilet na pociąg osobowy a jechał pośpiesznym. Nie chce zapłacić kary”. Dyżurny ruchu zautomatyzowanym gestem wyciąga formularz z nagłówkiem „Protokół” i zaczyna go wypełniać.

Pasażer wyjaśnia, że w Kolu-szkach rozmówił się z innym konduktorem tego samego pociągu i zgłosił mu dopłatę. „To trzeba było siedać do jego wagonu” — replikuje oskarżający konduktor, wyrażając tym samym przekonanie, że pasażerowie winni orientować się w podziale pracy dyżurnych konduktorskich. Dyżurny ruchu podziela chyba ten pogląd, bo w milczeniu smaruje protokół. Pasażer rozgląda się wokół i widząc przez okno konduktora, z którym rozmawiał w Kolu-szkach, proponuje by zasięgnął jego informacji. Konduktor-oskarżyciel wzrusza ramionami i wymienia z dyżurnym ruchu spojrzenie człowieka, który przyłapał bliźniego na płaskim kłamstwie. „To nie konduktor, a praktykant. On nie ma prawa decydować”. Pochylony nad protokołem dyżurny uśmiecha się podobnie do pasażera, który winien jest ciężkiego przestępstwa, polegającego na nierozróżnieniu konduktora od praktykanta konduktorskiego, postanawia, że na przyszłość każdą rozmowę z funkcjonariuszem kolejowym prowadzić będzie w obecności świadka. Inaczej nie obroni swej czci; w pokoju dyżurnego ruchu królują bowiem nierzadko nie zachwiana pewnością, że każdy pasażer jest kanciarzem, którego jedynym celem życiowym jest nabić w butelkę PKP.

Zajrzyjmy — dla odmiany — do gabinecie dyrektora ZPDz. im. Ofiar 10 Września. Zgłasza się tam obywatel mający zastrzeżenia co do jakości zakupionego przez siebie produktu tychże Zakładów.

Usłyszawszy o co chodzi, dyrektor bez chwili namysłu uznaje, że ma do czynienia z oszustem, który uszkodziłszy

zakupiony towar, chce „nabrać” zakład, chce „zrobić”. Z tego założenia wychodząc, dyrektor prowadzi rozmowę z interesantem, który rychło nabiera przekonania, że nawet nowozakupiona bielizna należy kłaść na siebie i prać w obecności świadków. Ale i w świadków także dyrektor nie wierzy, wierzy tylko w to, że świat jest zaludniony oszustami, którzy marzą o tym, aby „wykantaować” ZPDz. im. Ofiar 10 Września.

Zaiste, można by w nieskończoność mnożyć fakty i przykłady, świadczące o tym, że skłonność do widzenia w każdym bliźnim potencjonalnego przestępcy, nabieracza, oszusta jest u nas zjawiskiem nierzadkim. Dziwna rzecz — ludzie wyznający ten pokręcony pogląd, uważają się często za obrońców naszych zdobyczy, które przecież zostały osiągnięte dzięki zaufaniu do człowieka, dzięki odwołaniu się do jego cennych, twórczych wartości. Rzecz jeszcze dziwniejsza — ci nieufni i podejrzliwi faceci mniemają, iż osiągnęli szczególną, niedostępną przeciętnemu śmiertelnikowi mądrość życiową, podczas gdy ta ich „mądrość”, to po prostu ograniczenie, wierne poddanie się wymowie paru faktików znajdujących się w zasięgu własnego nosa.

W niepamiętny mi już z nazwy operetce, granej w okresie międzywojennym, znajdowała się postać policjanta. Policjant ów, tępy i ograniczony do niemożliwości, śpiewał przed kurtyną kuplety, między którymi znajdowała się taka zwrotka:

„Publiczność w mym rozsądku
Dzieli na kilka klas:
Takiś co będą siedzieć,
Siedzą, siedzieli już raz”.
Nie wątpię, w tym głupekawym tekścieku zawarta jest filozofia człowieka patrzącego na życie z perspektywy aresztu policyjnego. Tą samą, mniej więcej, filozofię wyznają także i ludzie, o których tu była mowa. Można im serdecznie pogratulować duchowego pokrewieństwa z beznadziejnym, operetkowym stupajką. Godna paranteza.

KRONIKARZ

Korespondencja

Sprawa wcale nie blaha

W dniu 21 czerwca 1955 r. Rada Narodowa m. Łodzi podjęła uchwałę, którą zapisano pod nr 13/55 i opublikowano w następującym brzmieniu:

Rada Narodowa m. Łodzi — dla uczczenia pamięci bohaterów rewolucyjnych walk klasy robotniczej w związku z 50 rocznicą wypadków czerwcowych — postanawia przemianować:

1. ulicę Zgierską — na ul. im. Ludwika Waryńskiego,
2. ulicę Srebrzyńską — na ul. im. Henryka Barona,
3. ulicę Rzgowską — na ul. im. Bolesława Kaliszewskiego,
4. ulicę Nieciarnianą — na ul. im. Wawrzyńca Bekrychta,
5. ulicę Nawrot — na ul. im. Teodora Jelińskiego,
6. ulicę Wodną — na ul. im. Józefa Kawczyńskiego,
7. ulicę Ludwika Waryńskiego — na ul. im. Władysława Hibnera,
8. ulicę Henryka Barona — na ul. im. Władysława Knieuskiego.

Tak. Jestem z całym szacunkiem dla pięknych tradycji łódzkiej klasy robotniczej, a jednak uchwała powyższa wzbudza szereg szczegółowych i zasadniczych wątpliwości. Zaczniemy od szczegółowych.

Nie rozumiem, czemu dotychczasową ul. im. Ludwika Waryńskiego nazwano im. Władysława Hibnera, a imię przywódcy „Proletariatu” nadano ul. Zgierskiej? Czemu ul. im. Henryka Barona przemianowano na ul. im. Władysława Knieuskiego, a imieniem Henryka Barona nazwano ul. Srebrzyńską? Na pierwszy rzut oka wydaje się, że R. N. chce uczcić pamięć Waryńskiego i Barona „przyczelnictwem” im. „lepsze” ulice; dlaczego jednak te „gorsze” nazwano imionami Hibnera i Knieuskiego? Cóż za szczególna hierarchia?

Jeśli zaś chodzi o praktyczne rezultaty tej manipulacji, to wydaje mi się, że mieszkalcy dawnych ulic Waryńskiego, Barona, Hibnera i Knieuskiego będą przez ładnych parę lat utyskiwać na przykre pomyłki z listami, depeszymi, a nawet może i pogotowiem. Nie mówię już o tych zwykłych, codziennych strapieniach, po których pozostaje jedynie więcej żółci w ludziach.

Po wyznaczeniu zmieniono w Łodzi nazwy niektórym ulicom, a do tej pory jeszcze się niezapamiętało do tych nazw przyzwyczajono, często używane są dawne. Czyż można się dziwić, że ulica Przejazd, przemianowana na Daszyńskiego, potem znów na Przejazd, a ostatnio na Tuwima — potocznie ciągle nazywana jest Przejazdem? Wydaje mi się, że wielki piewca Łódzi, twórcą opisów dawnożyła miasta, nie zasłużył na to, by jego nazwiskiem zaciemniać topografię łódzkiej części „Kwiatów Polskich”.

Wróćmy jednak do uchwały Rady Narodowej z dn. 21 czerwca. W Łodzi panuje — niestety! — ogólne przekonanie, że ulice otrzymały nazwiska bohaterów, padłych na barykadach w roku 1905. Kształtowaniu się takiej opinii sprzyja niezbyt jasna redakcja uchwały.

Wreszcie sprawa zasadnicza. Łódź ma tak małą tradycję. Budując ją, jeżdżono do cegielni po cegły Przejazdem, a uracno Na-wrot. Dlaczego lekkomyślnie zmieniono nazwy obu tym ulicom? A ulice Zgierska, Rzgowska, Nieciarniana, Srebrzyńska, przecież tak zrosnięte są z Łodzią, że trudno naprawdę będzie te nazwy wyrugować.

Nazwiska Kaliszewskiego, Jelińskiego, Kamczyńskiego czy Bekrychta zapamiętane zostaną jako niezrozumiałe utrapienie. — Obywate-

le radni! Rozpiszcie ankietę wśród mieszkańców miasta — zobaczycie jak rewelacyjnie ludom promiły je wam wyjaśni, jak niewiele ludziom w Łodzi oam coś mówią. Na tym polu trzeba było przede wszystkim coś zdziałać.

Co? — To już inny problem. Może tablice pamiątkowe, jeśli nie stać nas jeszcze na pomniki; może nadadź nazwiska bojowników szkołom, gdzie młodzież będzie dynamicznym ich propagatorem. Mechaniczne nadawanie nazw ulicom wydaje się — w każdym razie — wątpliwym sposobem utrwalania tradycji.

ANTONI WOJCIECHOWSKI

Co ci — cioci i inne radości i smutki

Eugeniusz Zytomirski omawiając w „Teatrze” libretto pierwszej po wojnie polskiej operetki „Tajemnica Dedala”, pisze:

„Podobnie oklepanych rymów i zwrotów, — takiej sztampany... nie znieslibyśmy, a raczej nie powinniśmy znieść przy wznowieniu żadnej starej operetki... Autor libretta... aż do zdumienia rymuje w piosenkach noc — moc, mi — izy, serce — rozterce, lez — kres, meki — udręki, usta — pusta...”

Sprawa gardłowa! Cóż pan nabroli, panie Tadeuszu! (Cyglerze).

Słusznie powiada Eugeniusz Zytomirski, że podobnie oklepanych rymów nie powinniśmy znieść nawet przy wznowieniu starej operetki. Np. przy wznowieniu „Zemsty Nie-toperza” Jana Straussa, z którą to „Zemstą” jeden z zespołów łódzkiego Teatru Muzycznego wyjechał na Wybrzeże, by w Gdańsku i Sopocie Jadwiga Kenda i Michał Ślaski mieli możność przerażonym gdańszczanom zaśpiewać:

Kraj — maj, bal — żal, mam — tam, co ci — cioci, grzech — pech, mnie — się, mowa — słowa, rzecz — precz, doć — złość, mój — zbroj, i tak dalej bez końca poprzec: czas — raz, noc — moc, dni — mi, do: czyżby fi- bini, śpiew — krew, mnie — chce, ja — dnia, spać — dać, wciąż — mać, pici — ci, rad — grad, mój — rój, głos — nos, strój — krój, tchórz — już, radości — miłość, ciek — giód... Tylko, że odpowiedziałymy za takie rymy nie jest już nasz Tadeusz Cygler, lecz sam Julian Tuwim — autor libretta „Zemsta Nie-toperza”!

Rzecz w tym, że jakoś rymów partii wo- kalnych nie polega na jakimś izolowanym wyklinie słów, lecz na tym, co jest między rymami. Karol Kraus (który, co na ogół mało jest wiadome, sam był autorem świetnych kupletów do operetek Offenbachowskich), powiedział w odniesieniu do rymów w ogóle:

Rym to brzeg, gdzie przybijają myśli, które się zgadzają.

Taki świetny znawca operetki, jakim jest Zytomirski, powinien i w przypadku „Tajemnicy Dedala” uwzględnić, że libretto spełnia w stosunku do muzyki rolę służebną i że nie wyklint rymu decyduje, lecz jego muzyczna przydatność. Primitywnym i płytkim rymowania istnieje w libretcie jako problem dopiero wówczas, gdy się rozrywa jednostkę muzyki i słowa, gdy się odrywa sylabę od jej istoty — nuty. Nie było, nie ma i nie będzie samodzielnego odbioru rymu przez widownię operetkową. Takie zjawisko zaistniało tylko w czasopiśmie „Teatr” — numer piętnaście, z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku.

LEOPOLD BECK

KRONIKA Nr 11

Od szopy na Zgierskiej...

Na rogu Zgierskiej i Kościelnego Placu — tloek. Przed dużą drewnianą szopą narożnego zajazdu ludzie gromadzą się, cisną, przepychają. Większość nie wie nawet o co chodzi. Ot, po prostu — jedni stanęli, więc i drudzy zatrzymują się, jedni patrzą, więc i drudzy obracają głowy w tę stronę. Zwyczajnie — tłum.

Tu i ówdzie okrzyk, zapytanie, odpowiedź. Ten i ów wie, że to przecież teatr ma tutaj pokazywać... komediantki, co przyjechali naumyślnie do Łodzi. Tu, w tej szopie... A co to znaczy — teatr? Nie wszyscy rozumieją. Teatr?

Dwadzieścia tysięcy mieszkańców, domów dziewięćset sześćdziesiąt liczy sobie w 1844 roku mała i skromna — niby już miasto, niby jeszcze osada — owa sławetna, przemysłowa Łódź. Wprawdzie już przed dwudziestu z górą laty, w 1820 roku, oficjalnie zaliczona została do miast fabrycznych, a w parę lat później poszczycić się już mogła pięknym, empirowym, murowanym ratuszem przy Nowym Rynku, ale wciąż jeszcze nie nabrała wyraźnego miejskiego oblicza, a większość jej ulic — to wciąż jeszcze zwyczajne trakty.

Pierwszy to raz teatralna trupa zawiata do Łodzi. Nie zawiódł się dyrektor towarzystwa, Marzantowicz, bo zwłaszcza na dwóch sztukach: „Kobiecie z gminu” i wesołym wodewilu „Adam i Ewa” frekwencję miał dobrą. Ba! żony i córki łódzkich „fabrykantów” rozkochoły się nawet w przystojnym aktorze, Fijałkowskim, i nie tylko oklaskiwały go na scenie, ale i składkę specjalną ku uczczeniu jego aktorskich zasług zebrnąć potrafiły.

Kiedy po dwóch latach, w roku 1846, a potem i po czterech, w roku 1848 — inne trupy teatralne zajeżdżały do Łodzi, nie było już takiego zbiegowiska; Łódź przywykła do teatralnych wizyt. Teraz chodziło się i jeździło gdzie indziej: na Wólkę, do specjalnego budynku przez Geyera wzniesionego na teatry amatorskie i publiczne zabawy, albo do sali widowiskowej „Paradyz” przy ul. Piotrkowskiej 175. I tu tenże sam Geyer wznosił drewniany budynek, okolony drzewami, na przestronnym podwórzu, na teatralne przedstawienia przeznaczony. Zajeżdżały tu i występowały towarzystwa Pietrzykowskiego, Raszkowskiego, Rembeckiej.

Damy łódzkie prezentowały w teatrze najmodniejsze toalety z kosztownego atlasu, krepy czy szkockiego rypsu w najtypowszych kolorach: szafiru, pensée, dali czy berlińskiego „noir de corbeau”; zarzucały na ramiona szerokie futrzane boa czy palatynki. Panowie mniej dbali o to, by przy modnych granatowych frakach nie brakło metalowych guzików, by pyszny krawat spięty był gustowną szpilką, a rękawiczki „miały zaletę wykwintności i dobrego gustu” — bo nawet tu, w teatrze, interesowali się głównie swoimi sprawami. Omawiali w czasie antraktywów swe ważne, zawsze aktualne i zawsze niecierpiące zwłoki, fabryczne i finansowe interesy, obojętne na sztuce, na elegancji, na wykwint zachowania i ubioru. Pieniądz. To interesowało ich najbardziej. To był ich żywioł. Sztuka została gdzieś na uboczu. Stawała się bodaj tylko pretekstem, toteż kiedy ani jedno towarzystwo dramatyczne nie odwiedziło Łodzi w przeciągu następnych kilku lat — nie było z tego powodu wielkiego zmartwienia. Fabrykancki świat nie odczuwał dotkliwie tego braku, tym bardziej, że dramatyczny zespół amatorski, który się w tym czasie w Łodzi zawiązał, wypełniał poniekąd tę lukę. Naturalnie, nie mógł sprostać zawodowemu, ale gdy w Łodzi osiedlił się znany miłośnik teatru, Fryderyk Sellin, i zaopiekował nad nią teatralną trupą, obejmując nad nią kierownictwo — poziom jej podniósł się znacząco. Już nie w geyerowskich budynkach, ale w specjalnym przez pana Sellina wynajętym lokalu w domu Baucha przy ul. Piotrkowskiej, odbywały się przedstawienia. Starano się grzać przewaźnie sztuki oryginalne, rzadziej tłumaczenia lub przeróbki, „kasę” przeznaczano bądź na konieczne potrzeby teatralnej natury, bądź na cele dobroczynne, ze specjalnym

względnieniem budowy szpitala; dawano przedstawienia co parę tygodni na przestrzeni lat sześciu i niejedna prawdziwie uzdolniona siła, nie tylko łódzka ale i z bliskiego Łodzi Zgierz pochodząca — przesunęła się przez tę amatorską scenę.

Można nawet powiedzieć, że w pewnym momencie amatorska trupa Sellina zwyciężyła zawodowy teatr reprezentowany tym razem przez słabe zresztą towarzystwo Rembeckiej. Było to w roku 1854. Trupa Rembeckiej dawała przedstawienia w sali teatru „Paradyz”, powodzenie jednak było tak znikome, że nieszczęśliwi aktorzy popadli w długi i nie mieli za co wyjechać z Łodzi. I wówczas młodzi amatorzy przysili im z pomocą, dając wspólnie z nimi i na ich korzyść przedstawienie „Don Juan czyli ukarany libertyn” — z doskonałym materialnym wynikiem.

Na ogół słabo się teatralnym przedsiębiorstwom w Łodzi wiodło i nie wesoło były ich losy. Trudna była ta łódzka publiczność.

Nowość dawno przestała nęcić, sztuka nie pociągała. Nie wpływały również na frekwencję nowe i coraz bardziej odpowiadające swemu celowi sale teatralne: ani ta, w budynku teatralnym pod nazwą „Arkadia” przez p. Sellina w roku 1864 przy ulicy Konstantynowskiej wzniesiona, ani ta z roku 1873, w Teatrze Letnim, również sellinowskim, ani wreszcie i ta, najbardziej do potrzeb teatralnych dostosowana i najbogaciej wyposażona — w teatrze „Victoria”, wzniesionym na terytorium posesji hotelu o tejże nazwie przy ulicy Piotrkowskiej, tam, gdzie dziś się mieści kino „Polonia”.

Jeden po drugim wycofywały się przyjezdne zespoły, skracali czas zamierzonego pobytu, uciekali dosłownie z Łodzi; jeden po drugim rzekali się kierownictwa dyrektorzy, gdy wreszcie w 1888 roku stworzono w Łodzi teatr stały. Próżną i bezcelową walkę toczył Lucjan Kościelecki, pierwszy dyrektor i właściwy twórca stałego teatru, a po nim Grubiński, Michał Wołowski, Marian Gawalewicz, Czesław Jankowski. Nic nie pomogło, że na deskach sceny stał przed łódzką publicznością Mieczysław Frenkiel, Bolesław Leszczyński, Ładnowski, Siemaszkowa, Pichor-Sliwicka; że gościł na nich Ludwik Solski, a nawet Modrzejewska dwukrotnie w drewnianej chałupie „Paradyz” próbowała oporne dusze łódzkie ujarzmić!

Nawet wzniesienie nowego, okazałego Teatru Wielkiego (Konstantynowska 14), będącego dziełem staran, zachodów, kapitałów i niegasnącego entuzjazmu do spraw teatralnych niezmordowanego Fryderyka Sellina — nie przełamało lodów.

1.250 miejsc, oczekujących na gości w dniu 28 września 1901 roku, który był dniem uroczystego otwarcia nowej sceny — nierzadko potem stało pustką; „Marcowy kawaler” Blizińskiego, „Pan Benet” Fredry, fragment „Zaczarowanego koła” Rydla, dane na program inauguracyjny — również nie stały się magnesem.

Teatr — ta najbardziej chyba dostępna, najbezpośredniejsza do widza przemawiająca sztuka — przez długie szeregi lat nie miała żadnego na kulturalne i umysłowe życie Łodzi wpływu. Można by nawet powiedzieć, że wszystkie złe moce uwięziły się przeciw łódzkiemu teatralnemu życiu.

Właśnie objął był dyrektorem teatru „Victoria” młody artysta sceny krakowskiej, Aleksander Zelwerowicz, a było to w roku 1908, i zdawało się, że może wreszcie uda mu się ten grunt twardej przeorać. Przewonął już nad ziemiami polskimi rok 1905, zelała presja carskiej cenzury, mogły przemówić ze sceny „Dziady”, „Wesele”, „Trydion”, „Nowa Dejanira”, „Odnosiło się wrażenie, że pod tchnieniem tej nieznanej, niesłyszanej dotąd, wielkiej prawdy piękna — zaczynają się budzić dusze... Ze sceny mówią wielkie talenty; Łódź poznaje młodego Jaracza. I oto w rok po otwarciu, w 1909, teatr pada pastwą pożaru. Z jakichś starych składów handlowych przy ulicy Cegielińskiej wznosi się gmach teatralny; znów obejmuje go Zelwerowicz i znów, na początku sezonu 1911 roku — teatr płonie. A potem tułaczka po wynajętych salach, trudności finansowe, twarde czasy pierwszej wojny światowej, okupacja i znów po zakończeniu wojny, w roku 1920, tym razem już w Teatrze Wielkim, który w czasie okupacji służył zespołom niemieckim, obejmuje niezniechęcony i nieustraszony Zelwerowicz dyrektę. 5 września 1921 roku nowy, niemożliwy do opowania pożar i ten gmach teatralny trawi doszczętnie.

Nie zaśluziła widać Łódź na posiadanie teatru i musiała nań dopiero wieloma latami dojrzewania zarobić. Ale nim do tego doszło, by teatr łódzki mógł spełniać swoje zadania nie tylko wobec jednej, uprzywilejowanej warstwy widzów, ale wobec całego, szerokiego społeczeństwa łódzkiego, wobec tych przede wszystkim, co przed stu z górą laty, tłocząc się przy drewnianej szopie na ulicy Zgierskiej, pytali się jeden drugiego: co to takiego teatr? — do głębi przewartościować się musiało życie, odmienić się musiał świat, a ci, co tworząc życie, od dóbr jego byli odsunięci — musieli wreszcie odnaleźć swe właściwe miejsce w społeczeństwie ludzkim.

HELENA DUNINÓWNA



Pięćka z agana

„W TEREN, W TEREN, MIŁY BRACIE...”

Niedawno w warszawskim „Expresie Wicczornym” przeczytaliśmy, iż: „Prezidium Stołecznej Rady Narodowej postanowiło, korzystając z przysługującego mu prawa, usuwać z terenu Warszawy złodziei, awanturników, pijaków itd...” Jakiż to wstrząsające proste rozwiązanie! Pozostaje jeszcze tylko drobna kwestia: dokąd mianowicie ma teren wysyłać swoich awanturników, złodziei itd.? Może, na zasadzie rewanżu, do Warszawy?

CZY?

Powieść „Przednówek”, wyd. przez Ludową Spółd. Wyd., liczy sobie stron 633. Powieść „Wyboje”, wydana przez Spółd. „Czytelnik”, liczy sobie str. 364. O dwóch tych powieściach recenzenci „Nowej Kultury” piszą, iż zostały niepotrzebnie wydane. Argumentacja recenzentów jest tym razem dość przekonywująca.

A my przynajmniej wiemy, dlaczego wydawnictwa nie mają papieru na skromne nawet tomiki wierszy. Papier, zużyty na nakłady tylko dwóch wyżej wspomnianych książek, wystarczyłby na dziesiątki publikacji poetyckich. Czy zastanawia się nad tym Centralny Urząd Wydawniczy czyli CUW? CUW-ie, CUW-pcie!

KONFERANSJERKA

W niedzielę, 11. IX. w Łodzi odbyło się kilka festynów, związanych z Miesiącem Przyjaźni i kiermaszami książki radzieckiej. Festyny, jak zwykle, były uroczyste występnymi artystycznymi. Oto przytłak, lekko tylko sparodowanej, dość typowej konferansjerki:

„A teraz, proszę państwa... Proszę państwa, prawda, bawimy się tu... Proszę państwa, właściwie co ja mam do powiedzenia?... Aha, przecież mamy miesiąc pogłębiania przyjaźni polsko-radzieckiej... Chciałbym, żeby na ustach państwa zakwitł uśmiech pogody... Proszę państwa, właściwie... Ja tu chciałem powiedzieć... No, tak... A teraz, proszę państwa, wystąpi... Bo ta koleżanka, proszę państwa, wystąpi w swoim repertuarze... Ale, proszę państwa, ja tu mówię dowcipy, a państwo chyba... No, tak... A więc...”

Konferansjerka nie jest rzeczą łatwą, zwłaszcza dla słuchaczy!

JAN HUSZCZA

Szkie popularnego odczytu o Mickiewiczu

Prelegentem poświęcam.

SZANOWNI słuchacze! Nasz wielki pisarz narodowy, Adam Mickiewicz, którego setną rocznicę wszyscy obchodzimy, był symem inteligenta pracującego, adwokata z zespołu adwokackiego w Nowogródku, oraz matki — gospodyni domowej. W rubryce „zawód wyuczony” podawał: nauczyciel, a w rubryce „zawód wykonywany”: literat...

Pod względem przynależności politycznej nasz autor był bezpartyjny. Przeżył drobniomieszczańską tragedię osobistą w związku z nieprzeżywaną miłością do niejkiej Maryli. Ale ona chciała wyjść za mąż za bogatego i wyszła za hr. Puttkamera, stając się w ten sposób na wrogię nam pozycję klasowe i paskudząc ankiety personalne swoim dzieciem.

Jako wileński student, założył tenże Mickiewicz do spółki z innymi aktywistami związek Filomatów i Filaretów. Był to związek do walki z chuli-gaństwem wśród młodzieży: chodził w sposób zorganizowany za miasto na majówki, śpiewali makowe piosenki i zamiast wyrobów monopolu spirytusowego pili mleko, co wywołało podejrzenie carskiej policji, której komendantem na miasto Wilno był niejaki Nowosilcow, typowy dzierzymorda gołędzinowski.

W ramach wymiany kulturalnej polsko-radzieckiej wyjechał Adam Mickiewicz do Związku Radzieckiego, który wtedy był jeszcze carską Rosją.

Przebywał Mickiewicz w mieście gubernialnym Odessie, znanym z portu, fabryk cukru i wyrobów skórzaných — obecnie, w budownictwie socjalistycznym, odgrywającym jeszcze większe znaczenie.

Poznał tam Mickiewicz kilka wy-tuornie ubranych, żyjących z wyzysku mas, pań z arystokratycznych salonów, które mu jednak duchowo zupełnie nie odpowiadały.

Zaprzyjaźnił się potem z postępowym literatem rosyjskim, Aleksandrem Puszkim, również źle widzianym przez władze, i odbywał z nim liczne spacery nad rzeką Newą.

W Rzymie i w Paryżu Mickiewicz był na emigracji i tęsknił „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, wyla-canych pszenicą i spóldzielczem żytem”...



— Taki chłop! Podniósł nam plan!

BALLADA O UPADŁYM ANIELE

Gdy kogut już hasło wyrzucił i odzew i gwiazdy zmęczone pobiłady, ja taką zanucę wam pieśń ku przestrodze: był anioł, był anioł, był anioł upadły.

Stał niegdyś z lilią wśród rzeźb świętych grona, nicwiele z tych czasów pamięta, już tylko cień wspomnień pozostał i ona: lilija, lilija, lilija zwiędnięta.

Bo przyszedł tam rzeźbiarz, szatański Pigmallon, i szepnął: „Aniele, pójdz ze mną” i zdjął z postumentu i powiódł hen, w dal ją, gdzie było, gdzie było, dość ciemno.



Od stóp aż do nimbu ją pieścił, a potem wyrzucił na bruk tak jak stała. Odnowił ją wprawdzie, lecz zabrał jej cnotę. Nie więcej, nie więcej, nie więcej nie miała.

Nie mogła powrócić do swej kaplicy na dawny postument kamienny. Niestety, to nie był już stan anielicy, lecz nieco, lecz nieco odmienny.

I oddał jej życie to zbrodnia za zbrodnią, fatalny ciąg skutków i przyczyn; zmuszona swe ciało sprzedawać przechodniom sączyła swój kielich gorczy.

A kiedy przekwitła niebiańska uroda — kupiła straganik i stołek: sprzedaje obrazki w kaplicy przy schodach, gdzie była przed laty aniołem.

Rys. M. Piotrowski

OD REDAKCJI

Do szkie Jana Huszczy pt. „Matura i „Pan Tadeusz”, drukowanego w 10 n-rze „Kroniki” wkłada się kilka błędów. M. in. w spalcie trzeciej zamiast „amatorem” winno być „animatorem”, zamiast „tepego” winno być „tegiego”.

„Do prac wydawniczych poszukujemy dawnych przekładów drobnych utworów (nowele i opowiadania) H. G. Wellsa, które nabędziemy lub wypożyczymy.

Wiadomość kierować pod adresem: SW „Czytelnik”, Wiejska 12-a, Redakcja Literatury Angielskiej, tel. 148-41, wewn. 24”.

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAJE ZWIĄZEK LITERATÓW
POLSKICH
Oddział w Łodzi
NAKŁADEM RSW „PRASA”

Adres Redakcji:
Łódź, Piotrkowska 96, t.p. Tel.: 244-79
Rękopisów nie zamówionych
nie zwraca się

Prenumeratę miesięczną wynoszącą
zł 2,40 przyjmują Urzędy Pocztowe
i listonosze.

Zakł. Graficzne RSW „Prasa” — Łódź,
Zwirki 17. Zam. 2944. N. 6100 Pap.
druk. sat. 60 g, V kl. VIII. 55. D-6-14226

JAN HUSZCZA